

czerwony karzet

1 (23) 2018



ISSN 1425-5952



9 771425 585204

LITERATURA

Joanna Głogowska	
<i>Pozostając zdrową na ciele i umyśle...</i>	7
Andrzej Prószyński	
<i>Inne Światy SA</i>	18
Jean-François	
<i>Dwa spacery</i>	21
Andrzej Prószyński	
<i>Wy wszyscy zombie, wreszcie zmartwychwstali...</i>	27
Flora Woźnica	
<i>Zapomniane dzieci</i>	37
Krzysztof T. Dąbrowski	
<i>Przepraszam pana, czy to żart?</i>	42
Norbert Góra	
<i>U kresu wszystkich dni</i>	47

PUBLICYSTYKA

<i>Bądź sobą...</i>	
wywiad z Magdaleną Pioruńską	3
Jan Plata-Przechlewski	
<i>Z fantastyką przez świat(y)</i>	13
Karolina Kaczkowska	
<i>Fantastyczne światy w mandze Darkside Blues</i>	24
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Czym skorupka za młodu nasiąknie...</i>	31

OD REDAKTORA

Nie jedno z nas przynajmniej kilka razy w życiu usłyszało, że „bujaj w chmurach”, wszak interesowanie się fantastyką to przebywanie w wymyślonych światach, jakkolwiek dawno wyszła ona już z getta popkultury, stając w jej czołówce. Abstrahując od powodów, jakie mogą przyciągać ludzi do fantastyki, dość łatwo jest odnaleźć w niej „swoj” świat, stworzono ich bowiem wiele i każdemu mogą zaoferować takie bodźce, jakich szuka. Raz będzie to zaduma nad kondycją człowieka w (nie) dalekiej przyszłości, innym razem heroiczne zmagania z przeciwnościami w rzeczywistości rządzonej magią i mieczem, jeszcze kolejnym – paniczna ucieczka przed mózgożernymi zombie lub bezwzględny psychopata.

Mnogość fantastycznych światów ujawnia ogrom możliwości kreacyjnych człowieka. To przecież pod ręką pisarza, mistrza gry czy scenarzysty powstają i upadają imperia, a ich mieszkańcy przeżywają swoje radości i tragedie. Nie na darmo mówi się, że czytelnik czy gracz żyją wiele razy. W 23. numerze „Czerwonego Karła” zapraszamy do dalszych refleksji nad fantastycznymi światami.

Czerwony Karzeł

Magazyn Literacki
Gdańskiego Klubu
Fantastyki
Nr 1 (23) 2018

100 egz.

ISSN 1425-5952

Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk
ul. Opolska 2

Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)
Agata Plank-Wcisłowska
Jan Plata-Przechlewski
Grzegorz Szczepaniak

E-mail:

delvanakk@gmail.com

Okładka:

Anna Niemczak, *Tyrs i Tycjan*

Druk:

Print Group Sp. z o.o.
<http://printgroup.pl>



BĄDŹ SOBĄ...

Z MAGDALENĄ PIORUŃSKĄ, AUTORKĄ POWIEŚCI *TWIERDZA KIMERYDU*, ROZMAWIA KAROLINA KACZKOWSKA

Skąd się wzięła Magdalena Pioruńska?

Zadałaś mi bardzo celne i zarazem irytujące mnie pytanie. Kim jestem? Po pierwsze, jestem sobą - sądzę, że to najlepsza odpowiedź. Po drugie, jestem pisarką, artystką. To dla mnie bardzo ważne i ciężko pracuję na to miano. Uważam, że prawdziwy pisarz powinien ciągle poszerzać swoją wiedzę ogólną, ale również kształcić się pod kątem psychologicznym. Kreacja bohatera jest dla mnie podstawą napisania dobrej książki. Jestem też buntowniczką w dobrym tego słowa znaczeniu, lubię podążać drogami buntowników, czerpać z ich biografii, książek, filmów czy innych dzieł. Podpisuję się pod stwierdzeniem, że wolność to stan umysłu.

Jak wyglądała Twoja artystyczna droga do obecnego momentu?

Ach. Była długa i wyboista. Piszę już od niepamiętnych czasów, odkąd tylko nauczyłam się tej trudnej sztuki. Z początku pisałam, bo mi się nudziło. Mam ogromną wyobraźnię, wymyślanie własnych historii przychodzi mi z łatwością. W pewnym momencie doszłam do wniosku, że jestem w tym naprawdę dobra, że chciałabym to robić w życiu, to i tylko to. I się zaczęło. Doświadczyłam ogromnego oporu mojego środowiska, najbliższych, szczególnie rodziców. Jesteś jakaś dziwna, to ci się nie opłaci, artyści to ludzie wykolejeni, chyba nie jesteś wykolejona, co? Przez pewien

czas przestałam więc mówić głośno o pisaniu i o tym, co pochłania mnie właściwie w 90% w ciągu każdego dnia. Ale to do mnie wracało, jak przekleństwo albo jak błogosławieństwo. W okresie studiów chciałam iść za tłumem, chciałam należeć, uznałam, że kiedy się DOPASUJĘ, odnajdę wreszcie AKCEPTACJĘ. Ale życie nie polega na wiecznym żebraniu o nią, a raczej na umiejętności wypracowania w sobie szacunku do samej siebie, takiego, który będzie widoczny na zewnątrz i sprawi, że inni również będą szanować Ciebie. Skończyłam studia, co jakiś czas zmieniałam pracę, nudziło mi się, szukałam, i szukałam, i szukałam tego, co przecież już dawno temu odnalazłam. Prowadziłam już swój własny magazyn kulturalno-literacki Szuflada i tam się spełniałam literacko. To mi jednak nie wystarczało, chciałam być blisko literatury, grać się w blasku sławy innych i choć od kulis przyglądać się blaskom i cieniom pracy pisarzy. Pracowałam więc przy festiwalach literackich, organizowałam spotkania autorskie, pisałam projekty na antologie, promowałam i motywowałam mój redakcyjny zespół. Innymi słowy robiłam wszystko, żeby nie pozwolić sobie na za-inwestowanie w samą siebie i w mój talent. Wewnętrznie się tego bałam, potrzebowałam lekkiego popchnięcia.

Skąd nadszedł impuls do dalszego rozwoju?

Wybrałam się na studia kreatywnego pisania do Krakowa. Te studia i kontakt ze



4 wspaniałymi, utalentowanymi ludźmi pokazały mi, że tak naprawdę nic mi nie brakuje, żeby zadebiutować, że jak mityczny Thor jestem godna podnieść wielki młot i z radością unieść go do góry. Wszystko zaczyna się w naszych głowach. To kwestia wiary w siebie. Wiem, że to może brzmieć pompatycznie, ale to mi się właśnie przydarzyło. Postanowiłam, że napiszę książkę, która będzie bardzo szczerą, bardzo moją, na mój sposób bezkompromisowa. W *Twierdzy Kimerydu* rozprawiłam się z moimi własnymi demonami i tak właśnie będę zawsze traktować mój debiut. Bo wiesz, chodzi o to, że mój głos jest ważny, bo to mój głos, nie będę miała nigdy innego, nie przemówię inaczej. Dlatego muszę go szanować, bo nikt nie będzie chciał go słuchać.

Dlaczego akurat dinozaury?

Nawiążę ponownie do studiów kreatywnego pisania, które ukończyłam w Krakowie.

Pisałam wówczas serię wierszy, w której pojawiło się fantastyczne stworzenie, które nazywałam Ono. Było personifikacją mojej Weny, tego lekko ironicznego głosu, który ciągle siedzi w mojej głowie i prowadzi ze mną bezgłośnie konwersacje. Lubię go, ponieważ jest niejednoznaczny, mówi do mnie symbolami, zagadkami, czasami muszę się długo domyślać, co ma mi do powiedzenia. Dinozaury wróciły do mnie dzięki kreatywnym ćwiczeniom, w których uczestniczyłam na zajęciach. Odkopałam starą inspirację i pomyślałam, że dobrze będzie ją odtworzyć, dodając do niej zupełnie nowe elementy.

Główni bohaterowie *Twierdzy Kimerydu* są potomkami dinozaurów, co w pewien

sposób czyni ich wszystkich outsiderami. Kto z nich jest Ci najbliższy?

Każdy z nich ma coś w sobie, z czym się identyfikuję. Bywam rozdarta jak Tulliusz, wycofana i cyniczna jak Tyccjan, odważna i arogancka jak Tyrs, ale jeśli mam wybrać jednego z nich, to będzie to jednak Tyrs. Oczywiście nie jesteśmy do siebie całkowicie podobni, ale, zwłaszcza pod koniec książki, Tyrs podejmuje decyzje, pod którymi się podpisuję, podejmuje też wysokie ryzyko, które mogło mu się opłacić albo nie. Mimo to wybiera działanie. Działanie jest podstawą mojej życiowej filozofii. Słowa to tylko słowa, niepoparte odpowiednią energią, czynem i ciężką pracą pozostają martwe. Mój ulubiony cytat z Tyrsa: „albo coś robisz, albo tego nie robisz”. Proste. W życiu wygrywa się konsekwencją. Poza tym Tyrs to antybohater, postać, którą okoliczności zmuszają do okazania heroizmu, przyjęcia pozytywnej postawy. Potrafi instynktownie reagować na potrzebę chwili. To typ twardego, ale też tak naprawdę pozytywnego wojownika. Myślę, że wybór działania zawsze stawia nas po tej jasnej stronie życia.

Jego sytuacja rodzinna jest dość skomplikowana.

Tak, spadła na niego odpowiedzialność utrzymywania wielodzietnej rodziny, jego matka jest w lekkim stopniu upośledzona, a jej kompletny brak instynktu samozachowawczego zmusił Tyrsa do ostrej walki o byt i godne życie dla młodszego rodzeństwa. To spowodowało, że musiał szybko dojrzeć, dokonywać wyborów dorosłego. Przy tym wszystkim Tyrs nie jest najsympatyczniejszą osobą. Przejawia dużo egoizmu, stara się ostentacyjnie narzucać innym swoje zdanie.



Trudny charakter na trudne czasy. Myślę, że druga część książki sprawi, że zweryfikuje też tę część swojej osobowości.

Sylwetki twoich bohaterów są bardzo rozbudowane, nawet postaci poboczne. A co z kreacją świata? Czy jest tak samo ważna, jak bohaterowie?

Myślę, że tak. Postarałam się również o to. Sądzę jednak, że w tak wielowątkowej powieści, jak *Twierdza Kimerydu*, nadmiar informacji dotyczących świata przedstawionego byłby tylko przeszkodą w jego odbiorze, a nie pomocą. Stąd wzięta się też pierwszoosobowa narracja, która znacznie zawęża przedstawienie świata.

Ogólnie mówiąc, jest to nasz świat z paroma dodatkami.

Tak, historia alternatywna. Świat, w którym to nasi przegrali drugą wojnę światową, a ich Cesarstwo zawładnęło całą Europę. Bohaterowie żyją w świecie objętym totalitaryzmem. Amerykami zawładnęły cywilizacje Indian: Azteków, Inków i Majów, a Rosją i Azją Związek Sowiecki, a Afryka zaś stała się europejską kolonią, do której Europejczycy wyrzucają efekty swoich nieudanych eksperymentów: genetycznych, medycznych i technologicznych.

No i dinozaury.

Ich pojawienie się w Afryce jest właśnie skutkiem tych nieudanych eksperymentów.

Do jakiego czytelnika kierowana jest *Twierdza Kimerydu*?

Myślę, że *Twierdza Kimerydu* to książka, która spodoba się ludziom otwartym, poszukującym nowych rozwiązań w literaturze i lubiących historie odbiegające od stereotypowych fabuł oraz bohaterów. Bohaterowie *Twierdzy* to w większości antybohaterowie, ludzie trudni i po przejściach, którzy wymagają czasu i wysiłku, żeby ich lepiej poznać i zaakceptować.

To nie pierwszy fantastyczny świat, jaki stworzyłaś. Wcześniej było Zoa.

Tak, Zoa nawiązywało do mitologii anielsko-demonicznej i mitologii Williama Blake'a. Mam w planach odświeżyć ten świat i jego bohaterów w konwencji intrygi dworskiej i zbrojnego konfliktu przyjmującego rozmiary wojny domowej. Ta historia potrzebuje przepisanania, odświeżenia, ujednoczenia. Popeliłam w niej grzech urodzaju. Mnożyłam postacie i wątki z zacięciem reżysera *Mody na sukces*.

Co Cię najbardziej pociąga w fantastycznych światach?

System polityczny. Oraz system społeczny. Lubię je tworzyć, porównywać z naszym i zmieniać według własnego pomysłu.

Czy trudno jest wydać powieść w naszym kraju? Jak oceniasz rynek wydawniczy i praca nim rządząca?

Myślę, że tak, że jest trudno i z tym się trzeba pogodzić – najlepiej na samym starcie. Jeśli nikt wcześniej nie kojarzył twojego nazwiska ani nie poznał twojej pracy, nie będzie chciał w Ciebie zainwestować. Myślę zatem, że pierwsza książka jest sama w sobie



sprawdzianem naszych umiejętności: nie tylko pisarskich, ale też promocyjnych i marketingowych. Ja postawiłam na bookstagram, grafikę i gadżety do książki. Serdecznie polecam z tego miejsca moją graficzkę, Anię Niemczak, niezwykle utalentowaną i skromną artystkę. To ona odpowiada za design postaci i całą serię grafik do książki.

6 **Wybrałaś wydawnictwo Novae Res, które nie słynie z bestsellerów. Dlaczego?**

Dlatego, że nie miałam za dużo czasu na podjęcie decyzji. Wydawałam książkę dzięki wsparciu z krakowskiego projektu. Na początku zamierałam wydać ją bez żadnego wydawnictwa, ale przeraziło mnie, że nie będę w stanie samodzielnie ogarnąć dyskusji i całej promocji. Zdecydowałam się dosłownie w ostatnim momencie.



rys. Anna Niemczak

Czy to, co dzieje się w Twoim życiu po debiucie, możesz nazwać spełnieniem marzeń?

W większości tak, choć nie spodziewałam się, że będzie mnie to kosztować tyle pracy, własnej pracy. Praktycznie cała promocja spoczywała na moich barkach, udało mi się poprowadzić ją spójnie i z uporem, z czego jestem wyjątkowo dumna. Wiem też, że pisanie jest jak narkotyk i kiedy już raz się tego spróbuje, okaże się, że miało się rację i że to zawsze było moim przeznaczeniem, to trzeba pogodzić się z blaskami i cieniami tego zawodu. Zresztą takie jest życie – nie tylko dobre, ale też nie tylko złe. Życie jest takie, jakie jest, trzeba robić to, co pobudza pasję.

Jakieś inne fantastyczne światy czekają na odkrycie przed Twoimi czytelnikami?

Planuję książkę w świecie, w którym pojawiają się syreny. A potem na pewno chcę skończyć serię Twierdzy, którą rozplanowałam sobie na 4 książki. Kiedy to będę miała za sobą, sądzę, że wrócę do świata Zoa i rozprawię się z jego historią i bohaterami. Jak widzisz, ambicji i kreatywności mi nie brakuje.

Jakieś rady dla kandydatów na pisarzy?

Bądź sobą, walcz o siebie i swoją pisarką wzię, nie oglądaj się na innych. Pisanie to ciężka praca, ale nic tak nie uskrzydla, jak praca wykonywana z pasją.

Dziękuję za rozmowę.



JOANNA GŁOGOWSKA

POZOSTAJĄC ZDROWĄ NA CIELE I UMYŚLE...

Są takie dni, kiedy wszystko ci się wali. Profesor nie chce przyjąć sprawozdania dzień po wyznaczonym terminie, podanie o praktyki w prywatnej szkole zostaje odrzucone, kot zostawia sierść na jedynych czystych ciuchach, przez co na wykładach wyglądasz, jakbyś zajmował się wyczynowym tarzaniem pod szafą – i ta śliczna dziewczyna z drugiego roku nekromancji ignoruje twoje wiadomości.

A potem umiera ci babcia.

Michael Kamiński był gotów potraktować wiadomość o śmierci babci jako najszcześniejszą tego dnia, który w jego mniemaniu był o jakieś dwanaście godzin za długi. Nie żeby nie kochał staruszki. Wprost przeciwnie. Maria Kamińska, czarownica starej daty i wykładowczyni w krakowskiej Wyższej Szkole Magii, była absolutnie najbliższą jego sercu członkinią rodziny. Wolał jednak o swoim uczuciu zapewniać ją z bezpiecznej odległości. Z innego kontynentu, żeby daleko nie szukać. Westchnął ciężko i przytrzymał telefon ramieniem. Ciotka mówiła do niego powoli i wyraźnie, jakby uznała, że jest niedorozwinięty umysłowo albo przez dwa ostatnie lata zapomniał ojczystego języka. Była człowiekiem, któremu bardzo rzadko zdarzało się prowadzić rozmowy w klasycznym tego słowa znaczeniu, przedkładając nad dialog stary, dobry i wypracowany monolog. Słowa wylewały się z jej ust jednostajnym, miarowym rytmem – tak że Michael musiał tylko pilnować się, by w odpowiednim momencie mruknąć odpowiednią monosylabę. Przypominało to trochę grę w *whack-a-mole*. A on zawsze był w to niezły.

— Jasne — mruknął, wertując klucze w płaszczu. Szarpał się przez dłuższą chwilę z zaciętą kłamką. — Tak, tak, jeszcze dziś zabukuję bilety... Nie, ciociu, to jest naprawdę najbezpieczniejszy środek transportu...

Marta Głowacka mało czego bała się tak bardzo jak latania. Gotowa była przeteleportować siostrzeńca pod Kraków, byle tylko oszczędzić mu horroru podróży samolotem. Michael, i cała rodzina zresztą też, podejrzewał, że lęk ciotki bał się z ilości obejrzanych filmów sensacyjnych. Ale komentarze sobie darował. Darował sobie komentarze bardzo dawno temu. Cierpliwość bowiem w tej rodzinie była cholernie przydatną cnotą. Należało nabyć ją już we wczesnym dzieciństwie, inaczej do gry wkraczała swoista selekcja naturalna. Słabsze jednostki, jak Kamila (jego siostra) przegrywały i uciekały jeszcze dalej niż on. Kamila była teraz gdzieś na placówce Caritasu w Afryce. Albo badała anomalie magiczne i pęknięcia rzeczywistości na Islandii. Albo coś w tym stylu.

— Rozumiem — wciął się w kolejną tyradę, nieco ostrzej i bardziej obcesowo niż zamierzał. — Oczywiście, że będę! Do wszystkich diabłów, to moja babcia!



Pogrzeb był niezręczny prawie tak bardzo jak odczytanie testamentu. Stypa była od pogrzebu o wiele gorsza. Głównie dlatego, że połowa twarzy wszystkich rozlicznych kuzynów i kobiet, na które od dzieciństwa mówił „ciociu”, ale nie potrafił określić stopnia spowinowacenia, była mu absolutnie obca. Nie widział tych ludzi od naprawdę dawna. Nieustannie dziwił się, gdy matka dyskretnie podpowiadała mu, kim jest mężczyzna, z którym właśnie rozmawiał o swoim licencjacie, albo przypominała, jak bawił się w piaskownicy z tą niewysoką blondynką w ołówkowej spódnicy. Pomyślał, nie bez goryczy, że pogrzeby i wesela to najwyraźniej jedyna okazja, by spotkać wszystkie rozliczne odgałęzienia rodziny Kamińskich i ponadrabiać plotkarsko-rodzinne zaległości. A, niestety, ani jedno ani drugie nie trafiały się zbyt często. Michael jakoś nie potrafił się w to zaangażować. Dopiero teraz, gdy odebrał już od notariusza przepisaną mu szkatułkę, uderzał go fakt śmierci babci. Jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Owszem, babcia była jaka była – złośliwa, uparta i zgryźliwa – ale w kwestiach magiczno-naukowych rozumiała go jak nikt inny. Zakładał, że gdyby nie on, w jego głowie nawet nie powstałby pomysł wyjazdu do Stanów i, w dalszej perspektywie, kariery akademickiej.

Któraś z dam rozplakała się koncertowo i zaszła konieczność wyprowadzenia jej na świeże powietrze. Poluzował nerwowo krawat, spojrział na zegarek. Kwadrans po siódmej. Minie jeszcze sporo czasu, nim będzie się mógł gżecznie pożegnać. Czarna, polerowana szkatułka z bakelitu ciążyła mu w rękach, a klucz do kłódki palił w kieszeni spodni.

*

Postawił szkatułkę na stoliku kawowym w salonie. W roli przycisku do papieru. Coś mu mówiło, że nie powinien jej otwierać. Poczucie humoru babci było porządnie pokręcone, zaś to, że w testamencie nie padło ani słowo o jej zawartości, musiało coś oznaczać. Oparł nogi na stoliku. Dimety, biały kocur ze złamanym ogonem, położył się obok i łypał na niego co jakiś czas połyskującym, żółtym okiem. Z drugiej strony... W najgorszym wypadku mógł co najwyżej wzbogacić się o zestaw przyborów do szycia, a zawsze chciał mieć igłę do skóry. Wyciągnął z portfela srebrny klucz – nie większy od tego, którym otwierał szkolną szafkę – i położył go idealnie w poprzek wieczka. Będzie sobie wyrzucał do końca życia, jeśli nie pozna sensu żartu. Albo nie pożyje długo, bo zawartość szkatułki zagryzie nim obiad. Albo potraktuje jako obiad sam w sobie. A to by było zdecydowanie niepożądane.

Dimety uderzył ogonem w kanapę, wzbijając z niej obłoczek kurzu, podniósł się i przeciągnął. Wczoraj wieczorem źle wybrał miejsce do spania i rankiem słońce obudziło go zdecydowanie zbyt wcześnie. Był w złym nastroju, a człowiek razem ze swoim pudełkiem działał mu na nerwy. Przedefilował leniwie po blacie stołu, pchnął je łapką. Michael westchnął i spojrział najpierw na nie, potem na kota. Miał to graniczące z pewnością przecucie, że kot uśmiecha się do niego złośliwie. I ponagląco. Otworzył kłódkę. Zamek obrócić się cicho, jakby był stale oliwiony, i uniół wieczko.



Nie wiedział, na co liczył – ale na pewno nie na to. Powietrze zadrżało, zamigotało jak prześwietlona woda i zapachniało ozonem. Nie było stopniowej, mglistej materializacji, ani rozświetnionej transformacji jak przy iluzji. To było nagłe jak mgnienie oka. Dimety prychnął, położył uszy po sobie. Tam, gdzie przed chwilą nie było absolutnie nic, stał męczyzna posągowej postury i twarzy godnej bicia na monetach, w niemodnym od jakichś, lekko licząc, stu lat garniturze. Skłonił się lekko i uchylił kapelusza. Kapelusz miał wymięte rondo i naddartą tasiemkę.

— Moje uszanowanie. George Niedermann. Do unżonych usług, szanownego pana. Do trzech usług, gwoli ścisłości. Niestety, albo stety. Zależy, jak pan sobie życzy na to spojrzeć.

Michael uśmiechnął się. No tak, mało rzeczy może być tak przydatne na studiach na obcym kontynencie. Babcia miała gest. A potem wypowiedział pierwsze życzenie.

9

*

Eva (nekromancja II rok)

Hej.

wysłano 19: 30

Ja

Hej?

wysłano 19: 33

Eva (nekromancja, II rok)

Uznałam, że powinnam się odezwać. Przepraszam, że cię ignorowałam. Teraz mnie tknęło, że zachowałam się jak buc.

wysłano 19: 40

Ja

Coś się stało? (Choć przemiana mnie cieszy, nie ukrywam.)

wysłano 19: 41

Eva (nekromancja II rok)

Szukam towarzysza do kina jutro. A ty ostatnio mówiłeś, że lubisz „Siedmiu wspaniałych”. Nikt ze mną nie chce oglądać westernów.

wysłano 19: 46

Ja

Złapię Cię jutro po wykładach.

wysłano 19: 46

*

Kino zamieniło się w spacer. Spacer niezauważenie przeszedł w kolację. Eva była czarująca. I miała świetny gust filmowy. Wróciwszy, rzucił kolejnym życzeniem. Niedermann



zaśmiał się tylko i kiwnął głową, zbyt zajęty kompletowaniem współczesnej garderoby przez Internet. Następnego dnia zadzwonili ze szkoły. W sekretariacie zaszła pomyłka i dyrekcja przyjmie go do placówki z ogromną przyjemnością. Formalności może dopełnić już jutro – wystarczy, że stawi się przed południem. Zaraz potem zadzwonił do Ewy. Proponował dowolny film jej wyboru i restaurację – jego. Zgodziła się od razu.

Schody zaczęły się potem. Teoria głosiła, że posiadanie własnego dżina powinno nieść ze sobą rozliczne korzyści. Michał, który w tej materii był wyłącznie praktykiem, miał nieco odmienne zdanie.

*

10

Mał Casales należała do tych dziewczyn, o których myśli się wyłącznie jak o kumplach. Głównie przez to, że była piekielnie wręcz inteligentna, przenikliwa i miała nieprzyzwoicie mocną głowę (niektórzy sądzą, że to tylko dzięki noszonemu w torbie amuletowi, ale sama zainteresowana nigdy nie potwierdziła tej plotki). Mał była też najlepszym nekromantą na roku, z ambicją zostania biegłym sądowym. Albo specjalistą od magicznych



rys. Anna Niemczak



tworów. Robiła dwa kierunki i na obu była najlepsza. A to musiało napawać podziwem i pełnym dystansu szacunkiem.

Nośiła hiszpańsko brzmiące nazwisko, którego geneza sięgała tak daleko w rodowód, że zupełnie nie dało się w niej dostrzec choćby kropli latynoskiej krwi i niebieskie, nastroszone włosy oraz kolczyk w dolnej wardze. Za duża o kilka rozmiarów flanelowa koszula i obszerny kardigan wisiąły na niej jak na wieszaku. Michael był niemal pewien, że zmieściłby się w jej ubrania razem z nią. Gdy wszedł, poderwała gwałtownie głowę. Przewróciła kubek z baterią ołówków i zakłęła siarczyście, tak jak bluzgać potrafią tylko nekromanci. Sztuczne światło uczelnianej pracowni nadawało jej cerze trupiej (o ironio!) barwy, takiej że ciemnobordowa szminka na ustach stawała się w przewrotny sposób parodią samej siebie.

— Dzwoniłem do ciebie...

Poprawiła kubek tak, by jego ucho było idealnie równoległe do krawędzi blatu, przesunęła go kilka razy, w skupieniu szukając odpowiedniego miejsca. Sprawiała wrażenie, jakby umiejscowienie kubka tak, by nie zakłócał przepływu energii, całkowicie pochłonęło jej uwagę. Postawiła go w końcu w samym rogu stołu i uśmiechnęła się do siebie.

— Dzwoniłeś — powiedziała. Miała ostry głos, niespecjalnie przyjemny dla ucha. — Zaskocz mnie... I wybacz niezbyt stosowne otoczenie. Nie wychodzę stąd od dwóch dni.

Uśmiechnęła się po raz wtóry, potoczyła wzrokiem po pracowni. Rozejrzała się razem z nią. Wcześniej nie zwrócił uwagi na kosz przepiękny kubkami po kawie, papiery rozrzucone na długim stole laboratoryjnym i oprawne w skórę książki ustawione w stos na katedrze. Wyglądały, jakby wyniosła je z sekcji o zmniejszonym dostępie. Potrzebna była pisemna zgoda rektora w dwóch egzemplarzach, żeby się tam dostać. Michael marzył o tym od dawna. Przełknął ślinę i przytaknął.

— Rozumiem. Powołanie nie wybiera, ale musisz się na chwilę oderwać od...

Przechylił się przez stół, zajrzał beczelnie w ekran laptopa.

— ...,„Analizy tworzenia golemów w ujęciu etycznym” i mi pomóc. Choć przyznam, że temat robi wrażenie.

Mał rozburzyła oburącz włosy i wzruszyła ramionami. Michael nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wygląda jak nastoletni chłopiec.

— Magisterka — rzuciła. — Ale ta twoja afera z babcią też brzmi całkiem niezłe. Jesteś pewien, że to dijnny? Tak w stu procentach?

Usiadła na stole i odsunęła na bok notatki, robiąc mu miejsce obok siebie.

— A może być cokolwiek innego?

— Sporo rzeczy można zamknąć w butelce.

— W szkatułce.

Westchnęła i posłała mu chłodne spojrzenie. Michael udał, że nie widział.

— W szkatułce — powtórzyła. — Może być i w pudełku po ciastkach. Albo pojemniku Tupperware. W czymkolwiek. Problem zaczyna się w momencie, w którym orientujesz się,



że babcia wcale nie dała ci przyjaznego ducha i miłego dijnni, ale dobrze zakamuflowanego demona. I jest to, nie ma co ukrywać, problem całkiem niezłego kalibru.

— Założmy, — zaczął powoli — że to faktycznie dżin. Dla uproszczenia.

— No tak, — kącik ust Max drgnął, a jej twarz zastygła w czymś pomiędzy grymasem a kolejnym uśmiechem — przyszedłeś tu o własnych siłach i w całości, więc możemy uznać, że to dijnni, którego, jak rozumiem, chcesz się pozbyć? Bo?

— Bo od trzech tygodni muszę z nim mieszkać! — wypalił. — I go karmić! Ja żyję za stypendium i pieniądze z domu! A on wraca ze sklepu z moją kartą płatniczą i serem hal-loumi! Skurczybyk żyje ponad stan. Nie stać mnie na to... A z tymi życzeniami... Wiesz, że da się znaleźć kruczek na wszystko?!

12

Nie wiedział, dlaczego tak wybuchł. Rzadko mu się to zdarzało. Max bez słowa zsunęła się ze stołu, sięgnęła po laptopa i przez chwilę patrzyła w ekran, przygryzając lekko dolną wargę. W oczach odbijał jej się wyświetlany obraz.

— Mówisz, że nie chce się wynieść, tak? — spytała, nieco bardziej laptopa niż Michaela. Tym razem był pewien, że to nie obraz, że to jej oczy tak błyszczą. Przytaknął.

— Nie dziwię mu się — westchnął. — Po stu latach siedzenia w pudełku też bym się nie spieszył z powrotem.

— Posłuchaj, — odstawiła komputer, skrzyżowała ramiona na piersi wyraźnie rozbawiona — a myślałeś, żeby go po prostu poprosić?

*

George Niedermann – prawie tysięcletni dijnni (czy też, jak sam o sobie mówił: ifryt), pochodzący w bezpośredniej linii od samego Maridża, a we współczesnych publikacjach klasyfikowany jako twór klasy pierwszej – wyciągnął się wygodnie na kanapie i włączył telewizor. Skakał po kanałach, leniwie mieszając czarną jak smoła kawę na odległość. Łyzeczka stuknęła cicho o ścianki kubka. Zatrzymał się na comedy central, na czwartym sezonie *Przyjaciół*. Przez ostatnie trzy tygodnie, gdy tylko pojął sens telewizji, został wielkim fanem seriali. Naprawdę wielkim. Jak najlepiej życzył Rossowi i Rachel, mimo wszystko. Ziewnął, pogłodził...

Drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem na moment przed tym, jak ten cholerny głupek padł na kolana przed uroczą Brytyjką z kolczykiem w rękach. Skończony idiota. George jęknął. Dawno nic nie sprawiło mu takiego zawodu. Czy naprawdę wymagał tak dużo? Rossa i Rachel schodzących się w końcu na stałe? Michael cisnął płaszcz na fotel, pogłaskał kota.

— George? Mam ostatnie życzenie.

Oderwał wzrok od ekranu, unióśł brwi. I tak nie zamierzał go spełnić, znaleźć kolejną lukę i przynajmniej obejrzeć *Przyjaciół* do końca. Michael spojzał mu prosto w oczy.

— Wyprowadź się.☼



JAN PLATA-PRZECHLEWSKI

Z FANTASTYKĄ PRZEZ ŚWIAT(Y)

Z fantastyką w literaturze (a właściwie w sztukach narracyjnych, bo i filmu ona dotyczy – i to z dodatkowym aspektem nieuniknionej wizualizacji!) bywa różnie, gdyż różnorako można ją interpretować. Nawet powieść realistyczna zawiera przecież w sobie pierwiastki fantastyczne: w Warszawie nigdy nie było sklepu Wokulskiego, zaś przebieg rewolucji francuskiej wyglądał nieco inaczej aniżeli w wielotomowym cyklu Dumasa-ojca. Z drugiej zaś strony – więcej prawdy o życiu znajdziemy w niejednym utworze spod znaku SF/F/H niż w popularnych „harlequinach” czy w sławetnym cyklu o fascynacjach niejakiego Greya. Tutaj skupię się jednak na opowieściach, których autorzy nie mieli zamiaru portretować historycznej lub współczesnej rzeczywistości – ale z założenia marzyło im się wykreowanie czegoś nieistniejącego.

13

Tak pojmowana **fantastyczność** też bywa zresztą przewrotna. Marek Wydmuch napisał kiedyś, że nikt nie zakwalifikuje do fantastyki kryminałów z Simonem Templarem (mimo sumy rozlicznych umiejętności głównego bohatera), zaś każdy za fantastykę uzna niechybnie nowelkę o szarym urzędniku, który (np. w wyniku napromieniowania) uzyskał zdolność przenikania przez ściany. A obie te postacie są przecież, z realistycznego punktu widzenia, jednakowo niemożliwe! Decyduje jednak intencja autora, konwencja utworu, nastawienie odbiorcy (na tej samej zasadzie do fantastyki nie zalicza się świętych ksiąg funkcjonujących do dziś religii; ale wymarłe mitologie oraz... *Silmarillion* J.R.R. Tolkiena – już tak).

ŚWIATY FANTASTYCZNE – BAŚŃ, HORROR, SCIENCE FICTION. W słynnym i fundamentalnym ich rozróżnieniu Roger Caillois skupił się na kształcie pierwiastka fantastycznego właśnie. W baśniowym świecie przedstawionym element fantastyczny jest dla bohaterów czymś naturalnym. Dodam, że może to być baśń klasyczna, w której świat usytuowany jest „za siedmioma górami”,

jest spójny i konsekwentny (zaś czytelnik pozostaje jedynie biernym obserwatorem). Może to być baśń literacka – bawiąca się konwencją, mieszająca style, porządki, elementy (z czytelnikiem wciągniętym to tej intertekstualnej zabawy). Może to być też





„wymieszanie” baśniowości i realizmu (bohaterowie – z którymi możemy się utożsamić, gdyż wywodzą się ze świata wzorowanego na naszym – trafiają, zwykle dzięki jakiemś artefaktowi, do świata rządzonego prawami baśni). W weird fiction owa baśniowa „spójność” pęka – gdyż element fantastyczny jest tak samo obcy zarówno bohaterom utworu, jak i jego czytelnikom. Też dodam, że może to być „klasyczny” horror z pojawiającymi się duchami, wampirami czy wilkołakami. Ale w wielu współczesnych opowieściach grozy mamy często do czynienia z „realistycznymi” psychopatami; no, prawie realistycznymi – często zadziwiać może nieprawdopodobna siła witalna takiego prześladowcy. Możliwe są też „hybrydy” tych ujęć, jak np. kosmiczna proveniencja demonicznych istot czy połączenie wątku psychopaty z motywem sennego koszmaru. Świat rzeczywisty bywa też obecny w problematyce utworu – jak chociażby odzwierciedlanie aktualnych lęków i frustracji społecznych. Z kolei przy fantastyce naukowej Caillois zauważył, że spójność świata przedstawionego zostaje przywrócona właśnie dzięki wprowadzeniu doń uzasadnienia „naukowego”.

Antoni Smuszkiewicz z kolei podzielił fantastycznonaukowe scenerie według dwóch dychotomii: zamknięte/otwarte, blisko/daleko. I tak „zamknięte-blisko” – to np. laboratorium szalonego naukowca w świecie przedstawionym podobnym do naszego; „otwarte-blisko” – to np. któraś z ziemskich aglomeracji w odległej przyszłości; „zamknięte-daleko” – to np. wnętrze statku kosmicznego; „otwarte-daleko” – to np. terytorium obcej planety. Natomiast Jan Trzynadlowski uważał, iż przyszłość zawsze jest obecna w utworze science fiction: jeśli nawet

nie będzie to obraz przyszłości – będzie to jej osiągnięcie, a przynajmniej zapowiedź. Co zaś do czasu jako takiego: od fabularnego arcydzieła Herberta George’a Wellsa jest on traktowany w wielu koncepcjach SF na zasadzie dodatkowego wymiaru, po którym można podróżować poprzez przeszłość lub przyszłość niczym przez „odległe krainy” (następca autora *Wehikułu czasu* wzbogacił tę koncepcję o światy równoległe oraz rozgałęziające się).

ŚWIATY PODOBNE DO NASZEGO. Mamy tu chociażby wszelkie – wspomniane wyżej przy podziale Smuszkiewicza – kameralne „historie wynalazków”. Uzyskany kontrast przypomina nieco ten z horrorów (wszystko, poza zasadniczym elementem, jest „realistyczne”), ma też na celu „uprawdopodobnienie” opowieści. Świat przedstawiony przypomina do złudzenia nasz – fantastyczny jest tylko wynalazek oraz laboratorium, w którym go dokonano. Przy czym ów wynalazek lub owo odkrycie może kłócić się z powszechnymi prawami fizyki. Przykładem może być wątek zatrzymania czasu na jakiejś ograniczonej przestrzeni (taki eksperyment byłby aobserwowalny, gdyż zapewne nie poruszałby się wtedy fale elektromagnetyczne). Nawet wspomniany wcześniej Wells przyznał zaś, że jego *Niewidzialny człowiek* byłby jednocześnie człowiekiem niewidomym (skoro wszystkie promienie świetlne swobodnie by przez niego przenikały). Przy inny klasyku gatunku, jakim był Jules Verne, można z kolei zadumać się nad „Nautilusem” kapitana Nemo. Wtedy okręt podwodny był *de facto* (mimo wczesnych prób) pojazdem fantastycznym. Ale obecnie już od lat ludzkość dysponuje takimi pojazdami! Jednak konstrukcja polskiego arystokraty (przez wydawcę przerobionego na hinduskiego księcia) po upadku jednego



z powstań – była w realiach XIX wieku niemożliwa do wykonania, a i strona technologiczna funkcjonowania „Nautilusa” znacznie różni się od zasad działania prawdziwych łodzi podwodnych (pomijam fakt, że bohaterowie przez całe 20 tysięcy mil swej podróży ani razu nie cierpią na chorobę kestonową). Podobne zarzuty możemy postawić Verne’owskiej podróży wokół Księżyca – z użyciem gigantycznej armaty. Z kolei zatrzymujący fale grawitacyjne cavorit z *Pierwszych ludzi na Księżycu* Wellsa pozornie nie zaprzecza prawom fizyki (sam autor uważał niebezpieczeństwa związane z kilkoma paradoksami – np. groźba „wypompowania” atmosfery), tyle że... taki materiał nie istnieje.

ŚWIATY NIEPODOBNE DO NASZEGO. Swoistym problemem w dokonywanym tutaj podziale jest fantastyka socjologiczno-polityczna. Ponieważ skupia się na innych aspektach niż obce światy – więc różnice na poziomie nauk ścisłych nie są tak spektakularne. Jednakże stopień społecznych manipulacji czyni owe światy mniej lub bardziej obcymi. Mimo totalnej i skutecznej tyranii – fizycznie aż tak nie różnią się od naszego światy z *My Jewgienija Zamiatina* czy z *Roku 1984* George’a Orwella. Fantastycznonaukowy sztafaż bardziej widać w *Nowym wspaniałym świecie* Aldousa Huxleya, że o powieściach Janusza A. Zajdla (*Wyjście z cienia*, *Paradyzja*, *Limes inferior*) i Stanisława Lema (*Eden*, *Powrót z gwiazd*, *Wizja lokalna*) nie wspomnę. Innym problemem jest fantastyka alternatywna. Tu autorzy najczęściej bawią się historią (np. neandertalczyki nie zostali wyparci przez *homo sapiens*; chrześcijaństwo zostało wyparte przez manicheizm; Sobieski przegrał pod Wiedniem; Napoleon pokonał Rosję; I wojna światowa nie wybuchła; bolszewicy

zawojowali Europę; schedę po Leninie przejął Trocki; nie doszło do wybuchu II wojny światowej lub zwyciężyły w niej państwa Osi). Taki świat może być również fizycznie podobny do naszego oraz pozbawiony nieznanymi wynalazków – ale przecież to już nie jest „nasz” świat! Obcość i fantastyczność wzmaga się przy bardziej zasadniczych różnicach (asteroidea nie zabiła dinozaurów albo w przebieg historii powszechnej włączyli się kosmici). Ponieważ powoli kończy się druga dekada (tak mitycznie traktowanego ongiś) XXI wieku – coraz więcej klasycznych utworów SF (których akcja toczyła się w wyobrażonym roku dwa tysiące którymś) staje się post factum historiami alternatywnymi; pogodzili się z tym nawet twórcy tak różnych kontynuacji filmowych, jak scenarzyści drugiego *Dnia Niepodległości* i drugiego *Blade Runnera*. Wyobrażenie naszej planety („otwarte-blisko”) może stać się dla nas fantastyczne również w wyniku inwazji Obcych (zmiana pojęcia o świecie i panujących realiów), albo w wyniku usytuowania akcji w bliższej lub dalszej przyszłości (nowy element zmieniający wszystko – jak w rzeczywistości dokonała tego rewolucja informatyczna), albo jako perspektywa odległych dziesięcioleci lub wieków (gdy obraz życia na Ziemi będzie dla nas prawie zupełnie obcy i niezrozumiały). Najprościej – co nie znaczy, że najłatwiej – wykreować całkowicie fantastyczny świat na odległej planecie lub we wszechświecie równoległym („otwarte-daleko”). Zawsze jednak pojawia się jakaś analogia (oby świadomie zamierzona!) do naszych realiów, jakieś uproszczenie (czy nawet naiwność); gdy bowiem Trurl i Klapucjusz zbudowali w Lemowskiej



rys. Paulina Śliwa



Powtórce świat zupełnie niepodobny do naszego (opisywany pozbawionymi znaczenia neologizmami) – nie dość, że nie wiedzieli, czy zaserwowali jego mieszkańcom raj czy piekło, to nie wiedzieli nawet, jak mogliby się tego dowiedzieć...

ŚWIATY WEWNĘTRZNE. James Graham Ballard, jeden z twórców Nowej Fali w SF, stwierdził ongiś, że „jedyną naprawdę obcą planetą jest Ziemia”. Twórcy tego nurtu science fiction – człon „science” łączyli z takimi naukami, jak psychologia, socjologia, antropologia. Bohaterowie ich utworów na różne sposoby penetrowali „kosmos wewnętrzny”; nawet pozornie techniczne elementy, jak chociażby nieodłączne wynalazki, raczej podkreślały życie psychiczne protagonistów lub były wręcz jego alegorią – aniżeli oznaczały nawiązaną fascynację techniką. Wiele obrazów wykreowanych przez wspomnianego J.G. Ballarda, ale także Raya Bradbury’ego czy Primo Leviego, przywodzi na myśl raczej baśń aniżeli „twardą” SF. Swoistym pomostem między hard fiction a inner space stał się późniejszy nurt cyberpunku – który łączył w sobie subiektywizm (i często wyalienowanie) z technologiami informatycznymi. Zresztą, wspomniana już wyżej, rewolucja informatyczna i związane z nią przemiany społeczno-obyczajowe po raz kolejny i nader dobitnie udowodniły, że przyszłość zwykle tworzą elementy, które w terażniejszości nie występują.

ŚWIATY W FANTASY. „Młodsza siostra” fantastyki naukowej, która podebrała i nadal podbiera jej spore grono fanów. Nie zauważył jej jeszcze Caillois (tego terminu używał raczej wobec „literackiej baśni” mieszającej stylistyki i konwencje) – a dziś doszukujemy się fantastyki nawet tam, gdzie jej właściwie być nie

powinno (np. legendy arturiańskie). Zwykle nawiązuje sztafajem do mitycznej starożytności lub mitycznego średniowiecza. Akcja toczy się albo na Ziemi (zazwyczaj w baśniowym „nigdzie”, poza odniesieniami do realnego czasu i przestrzeni), albo na obcych planetach, albo w światach alternatywnych lub w jakichś trudnodostępnych meandrach „naszej rzeczywistości” (niektóre z tych uwarunkowań mogą się przenikać). Poza magią – uwarunkowania fizyczne tych światów zwykle przypominają te z powieści historycznych.

Warto też zwrócić uwagę na dobór **nazewnictwa** budującego fantastyczność świata przedstawionego – typu: „zaczarowany grzebień”, „nawiedzony dom”, „przeklęta księga”, „miasto przyszłości”, „statek kosmiczny”, „obca planeta”, „świat alternatywny”, „wszechświat równoległy”, „inny wymiar” czy wszelkiego rodzaju (często pseudonaukowe) neologizmy.

Znam ludzi, którzy tak nie cierpią fantastycznych konwencji, że brak realizmu w świecie przedstawionym – niejako automatycznie zniechęca ich do lektury czy seansu. Bywa zresztą, że preferowany przez nich „realizm” z prawdziwym realizmem literackim i filmowym niewiele ma wspólnego. Mnie jednak zawsze fascynowały inne światy i próby odpowiedzi na pytanie „co by było, gdyby”. Już jako dzieciak, po przeczytaniu wszystkich dostępnych w domu utworów Arthura Conan Doyle’a o Sherlocku Holmesie, z zaciekawieniem sięgnąłem (mimo zniechęcających recenzji rodziców) po *Świat zaginiony* tegoż autora. I owa fascynacja światami innymi od naszego (także w różnych naukowych spekulacjach) pozostała mi po dziś dzień. ✨



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

INNE ŚWIATY SA

Przebijam się z trudem z sennego koszmaru do koszmaru jawy, niechętnie rozklejam powieki. Na ścianie widzę płaszące plamy słonecznego światła, zapowiedź pięknego dnia. Jak tamtego poranka. Ale wtedy obok mnie budziła się Julia, a teraz jej nie ma. I już nigdy nie będzie.

18 Tamtego, ostatniego poranka, byliśmy absolutnie szczęśliwi. Przekrzykując się, pakowaliśmy do bagażnika prowiant i inne Absolutnie Niezbędne Rzeczy. Przed nami była wycieczka w nieznane, szalona jazda serpentynami, krótkie postoje w najbardziej malowniczych miejscach, obowiązkowe fotki... Wszystko to, co lubiliśmy najbardziej.

Gdybym wówczas nie zaproponował jej, wręcz nie wymusił na niej, że teraz ja poprowadzę, wszystko byłoby inaczej. Wtedy to ja leżałbym w grobie, a ona żyłaby nadal.

Powtarzam to sobie każdego ranka, zanim wezmę prochy. Potem też, tyle że ten, kto mi to mówi, jest jakby dalej ode mnie. Ale i tak powtarza mi w kółko, natarczywie, że to właśnie ja ją zabiłem.

Jurek, chyba jedyny prawdziwy mój przyjaciel, kładzie mi bez przerwy do głowy, że to nie moja wina, że nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie. Łatwo mu mówić. Ale doceniam jego wysiłki, naprawdę. Także to, że zawsze nazywał mnie Romkiem, a nie Romeo, jak pozostali znajomi od czasu ślubu z Julią. Teraz mnie unikają i czuję, że jest im po prostu głupio.

*

Jurek bardzo się stara, żeby mnie czymś zainteresować, zmienić kierunek moich myśli. Przynosi mi książki, których nie czytam i filmy, których nie oglądam. A przede wszystkim przynosi mi opowieści, takie z pierwszej ręki. Dziś zakomunikował mi coś naprawdę niezwykłego. Jeden z jego kumpi, fizyk, pracuje w zespole badającym światy równoległe. Są już na tyle zaawansowani, że chcą założyć komercyjną spółkę, organizującą wycieczki do innych wersji rzeczywistości. Oczywiście za ciężkie pieniądze. Jeśli uda im się zarejestrować firmę jako biuro turystyczne, mają szansę zmonopolizować światowy rynek podróży międzywymiarowych. I dalej badać równoległe światy na własnych zasadach, z praktycznie nieograniczonym budżetem.

*

No i mamy Inne Światy SA z siedzibą w Warszawie. A także pierwszych klientów z bardzo grubymi portfelami, zza oceanu i zza wschodniej granicy. Największym powodzeniem cieszy się oczywiście Świat Jurajski, w którym feralna asteroida ominęła Ziemię, nie powodując zagłady dinozaurów. Jest też Świat Płazów, którego nie dotknęło permskie



wymieranie, Świat Bez Atmosfery (skąd się wziął, nikt nie wie), a nawet Śródziemie Tolkiena zdominowane przez elfy. To ostatnie jest najdziwniejsze – choć niektórzy twierdzą przewartnie, że wszystkie dostateczne bogate światy, takie, które potrafią zawładnąć ludzką wyobraźnią, stają się realne i można do nich dotrzeć. A może jest odwrotnie? Może istniały od zawsze, a z czasem zostały odgadnięte, odkryte metodami nieznanymi fizyce? Fascynuję się tym wszystkim mimo woli, tak, jakby dotyczyło to kogoś innego, kogoś, kim byłem niegdyś. Ale mnie, obecnemu mnie, nic po tych wszystkich światach, skoro w żadnym z nich nie ma mojej Julii...

A może się mylę? Może jednak jest taki świat, tylko nikt się nim nie interesuje? Nikt poza mną?

*

Jurek skontaktował mnie z Maćkiem, tym swoim kupcem z Innych Światów. Okazuje się, że wersje rzeczywistości zbliżone do naszej interesują ich, i to bardzo. Jest tylko z nimi pewien nieoczekiwany kłopot.

— Słyszaleś o regule zakazu Pauliego? — spytał mnie retorycznie. — Podlegają jej cząstki elementarne, zwane fermionami. Jeśli dwie takie cząstki mają ten sam stan kwantowy, czyli są, potocznie mówiąc, jednakowe, nie mogą współistnieć w tym samym układzie. Coś podobnego najwyraźniej dzieje się też przy podróżach międzywymiarowych. Nie potrafimy umieścić człowieka w takiej rzeczywistości, w której już on istnieje. Tak więc spotkanie samego siebie jest absolutnie wykluczone.

— Dlatego Bliskie Światy są bardziej niedostępne i tym samym ciekawsze — kontynuował. — W odróżnieniu od tych bardziej odległych, komercyjnych, gdzie nie ma ludzi lub tworzą oni zupełnie inne genealogie. Oczywiście paleontolog lub tolkienista będzie miał na temat ich atrakcyjności zupełnie inny pogląd.

— Jeśli więc podejrzewasz, że w którymś z Bliskich Światów nie ma ciebie, możesz stać się dla nas idealnym królikiem doświadczalnym — zakończył tyradę, patrząc na mnie uważnie. — Chciałbyś?

Pewnie, że chciałbym. Jak jasna cholera.

*

— Podróżnik międzywymiarowy — tłumaczy mi Maciek — jest jak korek wepchnięty pręmcą pod wodę. Będzie tam, dopóki działa siła, utrzymująca go w obcym środowisku. Potem wyskoczy na powierzchnię, czyli powróci do naszego świata. Stanie się to mniej więcej po 10 godzinach i jest pewne jak amen w pacierzu. A gdyby w tej wodzie był już taki sam korek, wepchnięcie drugiego po prostu się nie uda. I już. Dlatego będziemy próbować do skutku, zaczynając od światów nam najbliższych.



Stoję w fikuśnej klatce oplecionej przewodami, a Maciek wystukuje coś na klawiaturze, gapiąc się to na swoje palce, to na monitor, którego stąd nie widzę zbyt dobrze. Rozglądam się po laboratorium i zaczynam się nudzić – czy tak powinien wyglądać start do Wielkiej Przygody? Wiercę się coraz mocniej i wreszcie pytam z nadzieją, czy długo to jeszcze potrwa. Reakcja Maćka zdumiewa mnie. Podrywa się z obłędem w oczach, patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. A potem pyta mnie, kim jestem i skąd się tu wzięłam.

Parę minut później dociera do nas obu, że przeniosłem się właśnie do jednego z Bliskich Światów. Takiego, w którym na pewno mnie nie ma.

20

*

Nie ma mnie, ale jest mój dom, który otwieram kluczem wyjętym z kieszeni. Julii, niestety, nie zastaję, idę więc do Jurka. Na mój widok robi okrągłe oczy i wygląda, jakby chciał zatrzęsnać mi drzwi przed nosem. Wreszcie opanowuje się i powoli zaczyna kojarzyć. A na koniec rzuca mi się na szyję całkiem klasycznym niedźwiedziem i wreszcie wpuszcza do domu.

Niestety, nie ma dla mnie dobrych wiadomości. Opiekował się Julią, tak jak mną w moim świecie, ale jej depresja była najwyraźniej dużo głębsza niż moja. Mimo jego starań kilka dni po pogrzebie popełniła samobójstwo.

Upiliśmy się z Jurkiem na smutno, wspominając dawne, dobre czasy. Kiedy nagle zgasło światło, a z sypialni dobiegło chrapanie gospodarza, zorientowałem się, że wróciłem do swojego świata. Przeniosłem się na tapczan i zapadłem w ciężki, pijacki sen. Niewiele lepszy od moich zwykłych nocy.

*

Przez następne tygodnie odwiedziłem dziesiątki Bliskich Światów, ale w żadnym z nich nie było Julii. Dałem za wygraną dopiero wtedy, gdy kolejne nieba coraz bardziej zieleńiały, a ja zacząłem mieć trudności z oddychaniem. Zrozumiałem, że jeśli nawet gdzieś znajdę Julię, na pewno nie będzie to ona, tylko ktoś inny, obcy. Tak jak w Świecie Szekspira, którego na pewno nie będę chciał odwiedzić. Miał rację, pisząc, że nie było smutniejszej historii na świecie. A ja mogę śmiało dodać, że w innych światach również.

Jest jeszcze jeden świat równoległy, w którym na pewno znajdę moją Julię. Ale to świat, z którego się nie wraca.

Witaj, śmierci. Witaj, Julio. ☼

(12.02.2018)



JEAN-FRANÇOIS

DWA SPACERY

Cieszyłem się na tę delegację. Odkąd podjąłem pracę – dużo jeżdżę służbowo po całej Polsce, a w kilku nieznanym mi wcześniej miastach (Leszno, Piotrków, Lublin, Płock, Chełm, Konin, Opole, Wejherowo, Jarosław) czuję się już jak w domu. Niedawno udało mi się (wreszcie!) zaliczyć Zamość. Ale jakoś dotąd nie byłem w dwóch, których zabytkowe ryneczki też zawsze chciałem zobaczyć na żywo. Są to Tarnów i – przede wszystkim – Sandomierz. Ostatnie z wymienionych miast od lat marzyło mi się szczególnie; również dlatego, że wywodzi się zeń rodzina mojego pradziadka.

21

I oto zajeżdżam wreszcie do miejsca znanego mi dotąd jedynie z literatury, filmu, fotografii! Po zakwaterowaniu się w zarezerwowanym wcześniej hotelu (oczywiście na samej starówce), jeszcze przed kolacją, wyszedłem na pierwszy spacer. Upzejmy recepcjonista zaopatrzył mnie w gratisową mapkę, lecz nie była ona potrzebna. Starówka sandomierska jest równie urokliwa co kameralna, więc – mimo zapadającego zmroku – obszedłem ją całą. Lubię to uczucie, gdy fragmenty jakiejś przestrzeni, znane dotąd ze zdjęć, układają się w jedną całość (pierwszy raz doświadczyłem tego podczas gimnazjalnej wycieczki do Krakowa). W paru miejscach zatrzymałem się na dłużej; nie tylko przy najświetniejszych zabytkach, lecz również przy małej bramie, która w popularnym serialu odgrywa rolę wejścia do komendy powiatowej.

Po tej dawce ruchu, powietrza i wrażeń oraz po suto zakrapianej kolacji zasnąłem jak kamień. Aż dziwnie, bo chyba po raz pierwszy w życiu nic mi się nie śniło.

*

Rankiem obudziłem się rześki jak nigdy. Szybko zjadłem hotelowe śniadanie i ruszyłem obejrzeć Sandomierz również w świetle dziennym (na szczęście spotkanie biznesowe zaplanowano dopiero na przedpołudnie). Tym razem dyżur pełniła recepcjonistka. Jej twarz zwróciła moją uwagę nie tylko z uwagi na nieprzeciętną urodę i perfekcyjny makijaż – lecz także dlatego, że jej rysy przypominały mi jedną z młodych, ale coraz bardziej popularnych aktorek.

Dopisało mi dodatkowe szczęście. Idąc przez rynek zauważyłem znajomą postać w suttannie mknącą na rowerze. Wprawdzie nigdzie nie zauważyłem kamer ani ekipy – jednak przyelotne spotkanie z lubianym aktorem szykującym się do roli też stanowi niezłą atrakcję.

Z tego porannego błogostanu wyrwał mnie ostry pisk opon. Odruchowo odskoczyłem i spojrzałem w prawo. Przede mną zatrzymał się radiowóz. Wysiadają z niego dwóch policjantów. Ulżyło mi, gdy zobaczyłem twarze obu umundurowanych „funkcjonariuszy”.

— Co pan wyrabia, życie panu niemiłe? — niższy był wyraźnie zdenerwowany.

— Będzie mandacik! — ponuro dodał ten większy.

Roześmiałem się:

— Przepraszam za moje roztargnienie, ale zagapiłem się na Artura Żmijewskiego! Rzeczywiście, wlałem na ulicę jak krowa. Moja wina, przepraszam raz jeszcze. Nic się na szczęście nie stało, a zdjęć przecież nie zepsułem. Chyba zresztą już nie kręcicie na taśmie światłoczułej?

Policjant z dystynkcjami inspektora spojrzał na mnie jak na wariata.

— Czy jest pan pod wpływem jakichś środków? Chyba to nasze spotkanie nie skończy się samym mandatem...

A potężny aspirant spytał zniecacka:

— Kim jest ten Artur Żmijewski? To jakiś pański diler?

22 Na to oficer:

— Mietek, nie kompromituj się. To znany, głównie poprzez swoją kontrowersyjność, artysta plastik od różnych skandali. Ostatnio chyba coś tam znów narozrabiał w Oświęcimiu.

Dobra. Mało nie wpadłem pod auto. Miałem już jednak dość tego cyrku.

— Panie Piotrze... to jest, chciałem powiedzieć, panie Polk! Mielicie prawo się na mnie zirytować. Ale wystarczy. Wiemy przecież doskonale, że nie o tego Artura Żmijewskiego tu chodzi. Panów kolega po fachu przed chwilą przejeżdżał na rowerze!

— Czy on mówi o ojcu Mateuszu? — aspirant z wyraźnym zdumieniem spojrzał na inspektora.





Ten, wyraźnie już wściekły, podszedł do mnie bardzo blisko.

— Nie znam żadnego Piotra Polka. Nazywam się Orest Możejko i jestem komendantem policji w tym mieście. A na rowerze przejeżdżał ksiądz Mateusz Żmigrodzki, proboszcz parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy. W pewnym sensie można go nawet nazwać naszym kolegą, ale to akurat nie pańska sprawa.

— Ja myślę! — zaśmiałem się obu aktorom w twarz — W serialu jest przecież znacznie lepszym detektywem od was.

Nie tak wyobrażałbym sobie ewentualne spotkanie z lubianymi artystami. A teraz już w ogóle wyglądało tak, jakby ich obu szlag miał trafić na miejsku.

— W jakim serialu, do cholery?! Dokumenty, proszę!

— Pan chyba nietutejszy? Co pana sprowadza do Sandomierza?

23

— Delegacja służbowa. I, ponieważ nie przyjechałem tu dla zabawy, naprawdę nie mam już czasu na te wygłupy!

Odwrociłem się na pięcie. W tym momencie któryś z nich przytrzymał mnie za ramiona, a drugi od razu wygiął mi ręce i zadziwiająco sprawnie założył kajdanki.

Wzrasnąłem:

— Przeięliście, komedianci! Pozwę was do sądu, a poza tym — ostatecznie przestanę oglądać telewizję publiczną!

Jeden z dowcipnisiów wyrecytował policyjną formułkę zatrzymania, drugi wpakował mnie na tylne siedzenie samochodu. Ruszyliśmy.

Wyjechaliśmy z rynku. Aspirant, już spokojniejszy, zagadnął inspektora:

— Pamiętasz tego gościa z poderżniętym gardłem, który wcześniej przyszedł do nas na komendę? Miał dzikie oczy i też bredził coś o jakimś serialu.

— Faktycznie, podobnie tamta uduszona w parku dziewczyna. Jakiś nowy dopalacz wprowadzili czy co?

Zatrzymaliśmy się. Tym razem na mijanym wczoraj budynku wisiała jak byk tabliczka: „Komenda Policji w Sandomierzu”.

Zrozumiałem: wkręcają mnie! to jakiś nowy show mający ratować oglądalność! jestem w ukrytej kamerze! uff...

Mój dobry nastrój jednak diabli wzięli, gdy – zamiast wczorajszego przejścia – zobaczyłem wnętrze doskonale znanej mi komendy pełnej funkcjonariuszy.

*

Zamknęli mnie na 48 godzin. Nawet nie żałuję. Bałbym się wrócić do hotelu, iść na spotkanie, przejść się ulicą... Kto i kiedy mnie zabije??? Bo przecież zabije na pewno!!!

Może jednak usnę w celi – i obudzę się na ulicy, ale tej prawdziwej?

A może poproszę o spotkanie z ojcem Mateuszem? Tylko – czy on w młodości czytywał fantastykę...✿



KAROLINA KACZKOWSKA

FANTASTYCZNE ŚWIATY W MANDZE *DARKSIDE BLUES*

24

Manga i anime, wraz z całym dobrodziejstwem japońskiej popkultury, na dobre rozgościły się w sercach fanów na całym świecie. Polscy odbiorcy zaczęli zyskiwać większą orientację w temacie wraz z emisją *Czarodziejki z Księżycy* w Polsce w latach 90. (choć już wcześniej anime gościło na naszych ekranach, choćby za sprawą *Pszczółki Ma!*), która ujęła widzów złożonością świata przedstawionego, często łączącego różne konwencje fantastyczne. Ponadto niejednoznaczne moralnie postaci nie przystawały do typowego, czarno-białego wzorca z dotychczas dostępnych animacji, tzw. „bajek”, jak popularnie określa się u nas filmy rysunkowe, zwykle łącząc je bezwzględnie z niezawansowanym wiekiem odbiorcy. Wkrótce doczekaliśmy się pierwszych magazynów m&a, a w końcu także polskich wydań japońskich komiksów.

Nasz rynek wydawniczy, póki co, ominęła jednak manga powstała w 1988 roku, skądinąd znanego w Polsce twórcy *Vampire Hunter D* – Hideyukiego Kikuchiego – za tytułowana *Darkside Blues*¹. Opowieść ta, zilustrowana sugestywnie przez Yuho Ashibe, jest doskonałym przykładem jednoczesnego funkcjonowania w tekście kultury elementów science fiction, fantasy i horroru. Polski odbiorca mógł za to zapoznać się

z nakręconym na jej podstawie anime pod tym samym tytułem.

Zgodnie z oznaczeniem wydawcy manga *Darkside Blues* to horror. I rzeczywiście, elementów tej konwencji znajdziemy tu sporo, zwłaszcza w warstwie estetycznej mangi. Autorzy nie pożałowali czytelnikom nastroju tajemniczości i grozy ani też makabry, która niewątpliwie uwydatnia twarde prawa rządzące światem przedstawionym.

Akcja *Darkside Blues* rozgrywa się w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ziemią rządzi korporacja Persona Century, będąca właścicielem 90% powierzchni planety. Jej kwatery główna mieści się na orbicie i ma formę lewitującego miasta. Jedyne 10% pozostające terenem neutralnym to Kabuki-Cho, fragment Shinjuku – rozrywkowej dzielnicy Tokio. Persona to firma rodziny Hozukich zarządzana przez ojca Rando, syna Gurena i córkę Tamaki, znaną sadystkę zwaną Dusicielką, która z upodobaniem torturuje ludzi dziwnymi urządzeniami (z czego rysunki pani Ashibe nie pozostawiły nic dla wyobraźni). Żadne z nich może poszczycić się opinią dobrego człowieka. Wręcz przeciwnie. Mówi się, że tylko druga córka Rando Hozukiego, Sayo, posiada ludzkie serce. Istnienie drugiego syna, Enjiego, którego dotyk zmienia żywą tkankę w kamień, nie zostało potwierdzone (choć czytelnicy mogą odkryć co nieco na ten temat). Nie jest natomiast tajemnicą, że Persona Century stoi za

¹ Nazwy i cytaty na podstawie wydania amerykańskiego ADV-Manga z 1993 roku.



katastrofami ekologicznymi, ludobójstwem i podejrzanyymi eksperymentami na ludziach, bo tak torowała sobie drogę do władzy nad światem, którym rządzi w sposób typowy dla dystopijnych ciemięzców – mieniając się jedynym gwarantem pokoju i dobrobytu.

Zaawansowane technologicznie, wygodne i luksusowe budynki korporacji kontrastują ze zdewastowanymi domami w Kabuki-Cho, gdzie uliczne gangi walczą o przetrwanie, a ludzie wciąż wspomagają się miksturami alchemicznymi, obok konwencjonalnych metod leczenia. Po ulicach kręcą się dziwnie ubrani ludzie w futurystycznych, zmilitaryzowanych pojazdach. Pomiedzy nimi można czasem spotkać zabójców Persony, ludzi modyfikowanych genetycznie w taki sposób, by stawali się bronią sami w sobie. Jak na tyrana przystało, korporacja ma zagorzałych przeciwników, grupę buntowników przez ogół społeczeństwa zwaną terrorystami, toczących nierówną walkę z przeważającymi siłami wroga. Ich działania niekoniecznie spotykają się z przychylnością cywili, nawet tych nastawionych negatywnie do Persony Century, bo ludzie przede wszystkim pragną żyć w spokoju.

W takim właśnie świecie egzystuje Mai, liderka ulicznego gangu Messiah. W wyniku działań Persony straciła rodzinę, została także brutalnie zgwałcona przez Gurena Hozuki. Mai i jej kompani żyją z dnia na dzień, zajmując się swoimi sprawami, aż w momencie niespodziewanie pojawia się Darkside. Tytułowy bohater to postać ze wszech miar tajemnicza, owiana niedopowiedzeniami, co zresztą dość typowe dla mangi i anime. Wyłania się z czarnego zwierciadła w kwaterze Persony, tzw. Mirror of Arbis, powołując XIX-wieczną dorożką zaprzężoną w cztery

konie, odziany w strój adekwatny do zajęcia. Z treści mangi można wnioskować, że jego przybycie, a ściślej mówiąc powrót, zostało przepowiedziane, jakkolwiek zarząd korporacji nie dawał temu wiary. Powrót, ponieważ to Persona odpowiada za stworzenie Darkside'a. Osiemnaście lat wcześniej, jako trzylatek, został wrzucony w mroczną czeluść lustra – będącego wrotami do czwartego wymiaru – podczas ich krótkotrwałego, eksperymentalnego otwarcia. Zarówno jego powrót, jak i dorosły wygląd czy niezwykle zdolności, wymykają się naukowym możliwościom wyjaśnienia, jakimi dysponuje Persona, choć stale analizuje je komputer.

Postać Darkside'a łączy w tej mandze konwencje fantasty i horroru. Jego „moce” na pierwszy rzut oka wydają się czysto magiczne: pojawia się i znika, a jego nadejście poprzedza ciemność, otwiera przejścia między wymiarami, potrafi stać się eteryczny (razem z powozem), pochłania światło. Zamieszkuje Mansion of Illusions (Posiadłość Iluzji), gdzie trafiają tylko ci, którzy trafić mają. Ponadto bohaterom, z jakimi się styka, oferuje „correction” (korektę, poprawkę). W sobie tylko znany sposób sięga w głąb ludzkich umysłów i wspomnień, wydobywając na wierzch źródła motywacji i uświadamiając je właścicielom. Odsłania to, co człowiek chciałby ukryć nawet sam przed sobą. Choć de facto stworzyła go Persona, wydaje się wspierać drugą stronę barykady, ale jego zaangażowanie nie ma tła emocjonalnego. Niewiele da się powiedzieć na pewno o jego motywacji. Darkside nie okazuje żadnych uczuć, co czyni go dość nieludzkim, a przez to nieprzewidywalnym i tajemniczym, a więc potencjalnie groźnym.

Z pojawieniem się tytułowego bohatera związana jest stara piosenka sprzed trzydziestu lat. Zawiera ona poetycką, pełną metafor przepowiednię wyzwolenia (motywu częsty w fantasy), związaną ze słowem Darkside. Takie przecież imię bohater nadał sobie sam podczas pierwszego spotkania

z Mai, liderką gangu (nomen-omen) Messiah. Symbolika światła i ciemności jest tu odwrócona. „This world is too bright” (ten świat jest zbyt jasny), mówi Darkside. I rzeczywiście, ludzie żyjący na co dzień w oślepiającym blasku osiągnąć Persony, nierzadko czują się zmuszeni do pozostania w cieniu, w ciemności, by nie ściągnąć na siebie potwornych konsekwencji. Jeśli Darkside, a więc ciemna, mroczna strona, ma przynieść oca-

lenie – zatem ciemny człowiek musi być światłość. Nie na darmo głowa rodu Hozukich nosi przezwisko Lucyfer. Taki dobór nazw sugeruje już, z której strony nadejdzie zapowiadany w piosence zbawiciel. Ponieważ to manga – wytwór kultury japońskiej – nie należy się jednak spodziewać, że fabuła podąży po sznurku do zamkniętego, przewidywanego zakończenia, odpowiadając na wszystkie pytania czytelnika i oferując wyjaśnienie wszystkich tajemnic. Pozbawiłoby to tę opowieść jej skomplikowanego, mrocznego uroku, a odbiorcę intelektualnej przyjemności ponownej wyprawy w fantastyczny świat *Darkside Blues*. ❁

Darkside Blues



STORY HIDEYUKI KIKUCHI
ART YUHO ASHIBE



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

WY WSZYSCY ZOMBIE, WRESZCIE ZMARTWYCHWSTALI...

O opowiadaniu:

Recenzując dla „Informatora GKF” #331 film braci Spierig *Przeznaczenie (Predestination, 2014)*, oparty na klasycznym opowiadaniu Heinleina *All You Zombies (1959)*, napisałem następujący akapit:

Postanowiłem sobie solennie, że nie zdradzę tutaj pomysłu, znanego jako All You Zombies Paradox. Powiem tylko, że jest to koncept absolutnie totalny, doprowadzający to wszystko, co znamy z opowieści o podróży w czasie, do logicznego kresu. Dalej już pójść się nie da w żaden sposób.

Czytając kolejny raz tę wypowiedź, uświadomiłem sobie jednak, że się mylę. Można pójść jeszcze dalej, a żeby to wykazać, napisałem poniższy tekst.

Powstało danie o tyle kłopotliwe, że powinno się je serwować razem z Heinleinem, a dokładniej zaraz po nim. Co prawda w pierwszym *odcinku* opowiadania, będącym parafrazą ostatniego *odcinka* Heinleina, zamieściłem krótkie streszczenie *odcinków poprzednich*, ale znacznie lepiej byłoby ponownie przeczytać klasyczny tekst.

Opowiadanie Heinleina trafiło do trzeciego tomu antologii *Droga do science fiction*,
<http://docer.pl/doc/85e0vn>,

można je sobie także przypomnieć pod adresem

http://niniwa22.cba.pl/wszyscy_wy_zmartwychwstali.htm.

Z jego polskim tłumaczeniem pogrywa w pewnym stopniu tytuł mojego opowiadania. Zmodyfikowałem też pewne wyrażenia, tłumacząc je ponownie z oryginału.

Andrzej Prószyński

* * *

Wiem, skąd się wzięłem. Ale skąd wy się wzięliście, wy wszyscy zombie?

Robert A. Heinlein, *All You Zombies*

22:00 – VII strefa czasowa – 12 stycznia 1993 – Kwatera Główna Biura Czasowego w Sub Rockies:

Odfajkowałem przybycie u oficera dyżurnego i udałem się do siebie z mocnym postanowieniem solidnego odespania ostatnich wydarzeń. Takiego z grubsza tygodniowego.

Spędzając czas przed snem w towarzystwie butelki Old Underwear (tej, którą – jak by nie było – wygrałem), dokonałem w myślach prywatnego podsumowania swoich działań. Zawsze to robię, zanim napiszę oficjalny raport. Uzbierało się tego trochę:

Wysłuchałem historii życia Johna Samotnej Matki, który najpierw (od 1945-go) był dziewczynką-podrzutkiem imieniem Jane, wychował się w sierocińcu, w 1964-tym urodził córeczkę



zwaną po matce Jane, wykradzioną wkrótce potem ze szpitala, podczas gdy Johna (Jane) poddawano operacji zmiany płci.

Po rozmowie zabrałem Johna do 1963-go, aby poznał Jane i został ojcem jej dziecka.

Później przeniósłem niemowlę ze szpitala w 1964-tym do sierocińca w 1945-tym, gdzie odtąd dorastało jako Jane.

W końcu zwerbowałem Johna do naszej służby i umieściłem w 1985-tym – zgodnie z datą, pod którą sam zostałem zwierzbowany przez moją starszą, czyli obecną wersję.

Tak więc wychodzi na to, że wreszcie uporządkowałem swoje sprawy, a moja linia czasowa jest czysta i klarowna, wolna od paradoksów. Wiem, skąd się wziąłem. Ale skąd wy się wzięliście, wy wszyscy zombie?

28 Czułem zmęczenie, ale sen nie nadchodził. Nie biorę tabletek nasennych. Kiedy raz to zrobiłem, poczułem, że wszyscy zniknęliście. Prawdę mówiąc, i tak przecież was nie ma. Nie ma nikogo oprócz mnie – Jane – samotnej wśród ciemności. Ludziska, tak bardzo mi was brak...

Trzeba coś wreszcie z tym zrobić – pomyślałem, gdy w końcu zaczął morzyć mnie sen.

8:00 – VII strefa czasowa – 13 stycznia 1993 – Kwatera Główna Biura Czasowego w Sub Rockies: Miałem spać cały tydzień, a tu... Kiedy wracałem z łazienki, żeby się jeszcze trochę polenić, moje spojrzenie padło na *Regulamin czasu* nad łóżkiem i zatrzymało się na zdaniu *Paradoks można sparadoktorować*. Przypomniało mi to moje wieczorne myśli. Odwaliłem kawał dobrej roboty, to





prawda, ale nie czas jeszcze spocząć na laurach. Na razie tylko sam utwierdziłem własne istnienie. A co z resztą świata?

W ogólnych zarysach plan miałem w głowie od dawna. Potrzebowałem Jane, najlepiej zaraz po urodzeniu. A właściwie drugiej Jane, jeśli nie chciałbym popsuć tego, z czym się właśnie uporałem (w końcu jedna z zasad *Regulaminu* brzmi: *Jeśli coś ci się uda, nie rób tego ponownie*). Transformator współrzędnych umożliwia podwojenie na pewien okres, ale niestety nie na zawsze. Kiedyś w końcu trzeba cofnąć w czasie pierwszą osobę, inaczej jej duplikat na pewno się nie pojawi. Taki paradoks, którego sparadoktorować jeszcze nikt nie zdołał.

Długo to rozważałem i doszedłem do wniosku, że bez klonowania się nie obejdzie. Tyle że w moim przedziale czasowym takie procedury są wysoce nielegalne – można przez to wylądować w Polsce w okresie stanu wojennego albo w jakimś innym nieprzyjemnym miejscu. Na szczęście znam takie laboratorium w liberalnym 2063 roku, którego kierowniczką czuje do mnie słabość, mimo że podczas kolejnych wizyt nie staję się młodszy. Zdając sobie z tego sprawę, w ramach podziękowania już parę lat temu zrobiłem jej miłą niespodziankę w 2064-tym. Ale o takich rzeczach dżentelmen nie opowiada.

Pewnego razu, w styczniu, dyskutowaliśmy trochę o planowanym klonowaniu. Na początek miałem taki pomysł, żeby sklonować siebie, ot tak, po prostu – ale Claudia mi odradziła. Cała rzecz w telomerach, które w moim wieku są już mocno wytarte, więc klon nie miałby przed sobą długiego żywota. Najlepiej klonować niemowlęta, będę więc musiał odwiedzić Jane w szpitalu w Cleveland w 1964-tym, zanim jeszcze została porwana. Na szczęście nie trzeba jej zabierać w przyszłość – wystarczy zrobić wymaz z buzi i jak najszybciej dostarczyć go Claudii.

15:00 – VI strefa czasowa – 9 marca 1964 – Cleveland, Ohio – Apex Building:

Pod drzwiami leżała kartka z przypomnieniem, że umowa najmu kończy się w przyszłym tygodniu. Pamiętałem ją z poprzedniej wizyty, która nastąpi jutro. Zaszedłem tu, tak jak i wtedy, tylko po aktualne pieniądze i ubranie, które trzymałem w szafie na takie właśnie okazje. Poszedłem do szpitala i zajrzałem na oddział niemowlęcy. Dyżur miała inna pielęgniarka, niż zeszłym razem. To dobrze – w końcu byłoby dziwne, gdybym jutro ponownie się jej przedstawiał. Kiedy wyszła na chwilę, zrobiłem wymaz, zanotowałem dokładny czas i przeniosłem się do 2063-go. Kątem oka zauważyłem jeszcze swój powrót – przy tej długości skoku to zadziwiająca precyzja. No cóż, lata praktyki jednak robią swoje. Tylko po co wracałem tutaj, a nie od razu do Apex Building? Nigdy nie rozumiem tego pokręconego faceta, którym przypadkowo jestem.

10:00 – V strefa czasowa – 10 lutego 2063 – Providence, Rhode Island – laboratorium biologiczne:

Specjalnie wybrałem luty ze względu na mój ubiór, którego z oczywistych względów nie mogłem zmienić – ale i tak było tu cieplej, niż stulecie temu, co stwierdziłem lądując na patio. Wyglądałem, rzecz jasna, wyjątkowo staroświecko, ale w placówkach Biura Czasowego nikt nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Claudia prezentowała się wyjątkowo pięknie w prostym laboratoryjnym fartuchu – od tej wizyty w 2064-tym jestem nią coraz bardziej zauroczony. Zabezpieczyła wymaz



i poszliśmy uczcić nasze kolejne spotkanie. Długo, długo później omówiliśmy szczegóły i pożegnaliśmy się na wiele miesięcy. Jej miesięcy. Dla mnie to będzie zaledwie tydzień, wypełniony ostatnimi przygotowaniem.

14:00 – V strefa czasowa – 1 grudnia 2063 – Providence, Rhode Island – laboratorium biologiczne:
Dziewczynka jest prześliczna – kubek w kubek podobna do taty (do mamy zresztą też). Postanowiłem nazwać ją Lucy – to taka aluzja paleontologiczna. Dziwnie jest pomyśleć, że na tym maleństwie spoczywa odpowiedzialność za losy – ba, za samo istnienie – całej ludzkości.

Tym razem odłożyliśmy świętowanie spotkania do następnego razu. Muszę być w kondycji przed realizacją zadania swojego życia.

30

12:00 – III (wschodnia) strefa czasowa – 11 listopada 3200 000 p.n.e. – Etiopia, region Afar:

To był najdłuższy skok, jaki wykonałem. Ba – pewnie też najdłuższy, jaki wykonał ktokolwiek (w każdym razie nigdy o kimś takim nie słyszałem). To zresztą zupełnie zrozumiałe – agenci czasowi nie mają w tak zamierzcztych czasach zbyt wiele do roboty – delikatnie mówiąc.

Trafiłem w dziesiątkę, bo zaraz po skoku zauważyłem w pobliżu niewielkie stadko hominidów *Australopithecus afarensis*. Swoim efektownym lądowaniem wzbudziłem wśród nich popłoch, który potem najwyraźniej przerodził się w respekt. Nie minęło kilka godzin, a chodziłem wśród nich swobodnie, szukając mamki dla Lucy. Ta, którą w końcu wybrałem, spojrzała na mnie pocziwymi, krowimi oczami i przygarnęła dziewczynkę z wyraźną czułością.

Zmniejszyło to trochę moje poczucie winy, że zostawiam Lucy w tej dzicy. Pomyśleć tylko – nigdy nie zazna wygód cywilizacji, będzie za to narażona na liczne niebezpieczeństwa. I to właśnie ona – krew z mojej krwi, kość z mojej kości. Będzie za to matką was wszystkich, którzy jeszcze nie istniejecie.

20:00 – VII strefa czasowa – 20 stycznia 1993 – Kwatera Główna Biura Czasowego w Sub Rockies:

Tym razem mam ochotę przespać co najmniej miesiąc. A potem, gdy się obudzę, zadecyduję wreszcie o własnej przyszłości. Dosyć już zbawiania świata, czas przejść na zasłużoną emeryturę. Osiądnę w jakimś spokojnym miejscu i spokojnym czasie, a jeśli jeszcze w tym samym miejscu i czasie będzie Claudia... Pomyślę o tym po przebudzeniu.

Złamałem własne zasady i wziąłem środek nasenny. Tym razem niczego złego nie poczułem – świat trwał, stabilny w swych posadach, i wcale nie miał zamiaru zniknąć. I był pełen ludzi, a wszyscy byli moimi dziećmi.

Wiem teraz nie tylko to, skąd się wziąłem. Wiem także, skąd się wzięliście wy, wszyscy zombie, nareszcie i na zawsze zmartwychwstali. ☼

(Sub Rockies – Bydgoszcz, czerwiec 2017)



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIĄKNIE... O KSZTAŁTOWANIU FANTASTYCZNEJ WRAŻLIWOŚCI MŁODEGO WIDZA PRZEZ PRL-OWSKĄ TELEWIZJĘ, CZYLI SOBÓTKA I INNE

31

Kiedy zaczynałem edukację szkolną w tzw. Zerówce fanaberie w postaci wolnych sobót były nie do pomyslenia, podobnie jak handel w niedzielę. Sytuacja trochę się zmieniła po sierpniowych strajkach roku 1980 (szykowałem się wtedy, by pójść do II klasy podstawówki). Jednym z przyjętych wówczas przez kacyków prl (będę pisał tę nazwę z małej litery z premedytacją, z jaką po II wojnie światowej powszechnie pisało się „niemcy”) postulatów było wprowadzenie wszystkich wolnych sobót od 1981 roku. Oczywiście i tej umowy tamten (zd)radziecki reżim nie dotrzymał – i początkowo były to dwie wolne soboty w miesiącu, potem zaś trzy. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy wszystkie soboty w miesiącu były wolne, ale stało się to dopiero w tym tysiącleciu wraz z wprowadzeniem 40-godzinnego tygodnia pracy; na pewno w szkołach pojawiły się one wcześniej niż w przemyśle, ale przecież nie o tym ma być ten felieton.

Pojawienie się dodatkowego wolnego dnia wymusiło na proletariackiej telewizji przygotowanie nowej oferty dla nudzącej się w domu szkolnej braci. Wcześniej programy dla dzieci i młodzieży zaczynały się najczęściej po godzinie 15:00 czy 16:00 (były to

różnego rodzaju Zwierzynce, Telesfory – później zamienione na Piątki z Pankracym, Dwa Michały, Kino Młodych itp.); i tylko w niedzielę o 9:00 rano puszczano Teleranek. Teraz trzeba było koniecznie czymś zająć dzieciaki również w sobotę. W ten sposób narodził się program pn. **Sobótka**, który wystartował na początku roku 1981 (nie pamiętam już, czy zaraz po przerwie świąteczno-noworocznej, czy dopiero po feriach zimowych, odbywających się wówczas w całym kraju w tym samym terminie). Dlaczego o tym wspominam? Bo Sobótkę, choć nie zawsze zajmującą, kończył kolejny odcinek japońskiego filmu animowanego pt. **Zaloga Dzi** (pozwoliłem sobie napisać ten tytuł fonetycznie, bo mając niespełna 9 lat i nie ucząc się od przedszkola – do którego zresztą nie chodziłem – angielskiego, nie miałem wówczas pojęcia, że tak po prostu wymawiało się angielską głoskę „g”).

Dla mnie i dla moich rówieśników *G-Force* czy też *Gatchaman* był serialem kultowym, który nie tylko zapoznawał nas z mangą w jej wersji anime, ale odkrywał również uroki space-opery. Łatwo bowiem sobie obliczyć, że nie mieliśmy żadnych szans, by załapać się na polską premierę *Gwiezdnych wojen* (1979) oraz byliśmy również za młodzi,

by zmierzyć się intelektualnie nawet z filmową fantastyką demoludów jakoś tam obecną w telewizorni. Nic zatem dziwnego, że dzieło tak bogate w formę i treści i tak pobudzające wyobraźnię (przypominam, że kolorowy telewizor był wówczas rarytasem i większość z nas oglądała ten film w szlachetnych odcieniach szarości) zaowocowało wytworzeniem się specyficznej subkultury. Nasi starsi bracia czy kuzyni tworzyli czteroosobowe załogi pancernych, my natomiast w tych czwórkach bawiliśmy się w Załogę G (z piątym członkiem Technologicznych Ninja – Księżniczką był pewien kłopot: potrzebna byłaby dziewczyna – a wiadomo, że z dziewczynami nie ma zabawy), biegając w jakichś porwanych prześcieradłach i wołając „Transformacja!”. Prawdziwymi debeściakami, budzącymi powszechny podziw, byli zaś ci, którzy byli już u I Komunii i posiadali zegarki. Słynny gest Gatchamanów mogli bowiem wykonać z pełnymi szykanami! Do dzisiaj pamiętam jeszcze fragmenty słownego intro, poprzedzającego każdy odcinek:

Załoga G! Piątka nieustraszonych młodych ludzi, przemierzająca najdalsze zakątki

wszechświata [ewentualnie: kosmosu]. Mark, Jason, Księżniczka, Kijop i Mały.

Oprócz nich występował jeszcze robot 7-Zark-7 (nieobecny w oryginalnej japońskiej serii, ale polska telewizja zakupiła przemontowaną wersję amerykańską, wyposażoną w tego artupodobnego droida z cechami cetripio, który czytał książki z zawrotną prędkością i aby zajmowało mu to więcej czasu, trzymał je do góry nogami; beznadziejnie też wzdychał do namiętnego głosu jakiejś robociej damy, z którą się co odcinek kontaktował, gdyż zawiadywała ona jakąś rozległą bazą danych). Zresztą te podobieństwa do *Gwiezdnych wojen* mogły nie być przypadkowe. Oryginalny japoński serial został zrealizowany w latach 1972–1974, natomiast Amerykanie swoją *Wojnę planet* (*Battle of the Planets*) wypuścili już po sukcesie starwarsów (1978–1980).

Zresztą inspiracje były tu co najmniej krzyżowe, gdyż japoński film pełnymi garściami czerpał z dorobku amerykańskiej i w ogóle zachodniej popkultury. Załoga G to byli zwyczajni, choć na pewno nie przeciętni, młodzi ludzie: jeden był w cywilu pilotem oblatywaczem



Jedyna prawdziwa Załoga G: Mark, Mały, Kijop, Księżniczka, Jason



odrzutowców, drugi ścigał się samochodami, babeczka i jej przyrodni brat prowadzili knajpę, a ona jeździła motocyklem; ale kiedy centrala dawała im rozkaz – zbierali się razem na tajnym pasie startowym w swych pojazdach, by po nieodzownej transformacji, po której stawali się typowymi bohaterami w trykotach, zamustrować się w kosmicznym pojeździe o nazwie Feniks (startował niczym samolot, a nie jak rakieta czy wahadłowiec) i wyruszyć na kolejny bój z siepaczami Zoltara (antybohatera w masce) z planety Spectra (tak, tak, naoglądali się Bonda Japończycy i nie zawahali się tego wykorzystać). Osławiona centrala Gatchamanów, którzy prowadzili żywot agentów pod przykryciem, też wyglądała raczej jak siedziba jakiegoś wywiadu, choć oficjalnie była jakimś syndykatem naukowców i innego rodzaju wynalazców, wyposażających swoich podwładnych w najnowszą broń do odpierania coraz przemyślniejszych ataków nieustępliwego wroga. On sam zresztą też nie był najważniejszą postacią po ciemnej stronie mocy – odbierał rozkazy od kogoś, kto permanentnie ukrywał swoją tożsamość, a manifestował swoją obecność w postaci migających plam na monitorach komputerów oraz głosu. Niemniej musiał posiadać sporą fortunę, nieograniczone technologiczne możliwości i sporo cierpliwości, bo po każdym laniu otrzymany od Załogi dostarczał Zoltarowi nowych środków do dalszego nękania Ziemi. Podobieństwa między tą dwójką z *Gatchamanów* a Imperatorem i Lordem Vaderem z *SW* wydają się nieprzypadkowe i, choć na tej podstawie nie sposób oskarżyć Lucasa o plagiat, jakiś fluid musiał krążyć między jedną a drugą stroną Oceanu i zarazić twórców obu tytułów.

Załoga G kręcona była według jednego schematu fabularnego. Idylliczne życie bohaterów zostaje zakłócone jakąś podejrzaną anomalią. Załoga udaje się z misją rozpoznania zagrożenia; wkrótce okazuje się, że to pułapka i, jak na rasową space-operę przystało, wszystko kończy się bitwą z użyciem najnowszych środków rażenia przeciwnika. W trakcie walki zaś nieodzowna okazywała się jeszcze jedna transformacja: pojazdu Gatchamanów w prawdziwie Ognistego Feniksa. Tak ukształtowanego obiektu żołnierze Zoltara nie byli w stanie powstrzymać, więc musieli zapłacić za to straszliwą cenę.

Żeby ubarwić ten nudny schemat, wpleciono do fabuły różne wątki obyczajowe. Zabójczo przystojny dowódca Mark podkochuje się w Księżniczce (kto by się zresztą w niej nie podkochiwał, zwłaszcza że nie była – jak Marusia – żołnierzem znenawidzonej Armii Czerwonej), ale ma godnego siebie rywala w postaci swojego zastępcy Jasona. Przybrany brat niebezpiecznej ślicznotki Kijop się jąka (ponoć tylko w wersji amerykańskiej), a pilotujący Feniksa Mały jest nieśmiałym grubaskiem (w wersji angielskiej nosi imię Tiny, czyli raczej Chudy) i najbezpieczniej czuje się w towarzystwie mikrego Kijopa (tworzą razem klasyczny duet komiczny w stylu Flipa i Flapa). Szef syndykatu naukowców, który ich zatrudnia, czasami musi zastępować im ojca, przeprowadzając z nimi motywujące rozmowy (nudy i jeszcze raz nudy).

Odświeżając sobie wiadomości nt. *Załogi G*, natknąłem się na informację, że prl-owska telewizja nie pokazała wszystkich odcinków i tak skróconej amerykańskiej wersji serialu. Tego też nie pamiętam, bo film leciał chyba



Zoltar z planety Spectra

przez dwa–trzy lata i z perspektywy 9–10-latka był właściwie serialem niekończącym się. Niemniej fakt, że na końcu Zoltar okazał się dziewczyną (czy też obojnakiem – dla mnie wówczas nie stanowiło to żadnej różnicy), pamiętałem, zatem i ten odcinek musiał się pojawić w telewizji. Owszem, doczytana przeze mnie informacja o śmierci jednego z członków Załogi mnie zaskoczyła, ale być może dlatego jej nie zapamiętałem, że niezbyt lubiłem tego Jasona albo po prostu nasi spece od rozrywki dla dzieci przemontowali odcinek, wycinając z niego tę drastyczną scenę czy też dołączyli sekwencję odkrycia tożsamości Zoltara do ostatniego wyemitowanego odcinka (w pewnym serwisie z filmami i muzyką niedawno jeszcze można było obejrzeć finał tamtej serii *G-Force*). Jedną z plotek wyjaśniających przyczynę przerwania emisji tego serialu odnosi się do słynnego szpitalnego opolskiego kabaretu z 1984 roku. Awanturującemu się Bohdanowi Smoleniowi jeden z pielęgniarzy przerywa, mówiąc: „Uważaj, bo się obudzisz którejś niedzieli i znowu nie będzie Teleranka”, a drugi

dodaje: „Tylko stanie u drzwi *Załoga G*”, co Smoleń kwituje krótkim: „i miś Kolabor”. Takich żartów ze stanu wojennego WRONa ponoć nie potrafiła przełknąć i w ramach odwetu wyłączyła dzieciakom *Załogę G* i *Misia Kolargola*.

Popularność *Załogi G* była na początku lat 80. XX wieku prawdziwym fenomenem. Plakaty z bohaterami filmu pojawiały się w kolorowych tygodnikach i – chociaż koszulek czy figurek z nimi w Polsce nie dało się uświadczyc – to już np. na tzw. chińskich piórnikach (prawdziwe cacka z tworzywa sztucznego zamykane na magnes, z mnóstwem praktycznych przegródek, w dwóch rozmiarach i dwóch typach: otwierane jednostronnie i dwustronnie) ich podobizny pojawiały się w kilku układach (miałem taki piórnik przez kilka lat!).

Zakończenie emisji tego serialu było dla mnie sporym ciosem. Po wielu wielu latach (pod koniec nauki w technikum) na jednym z komercyjnych kanałów natknąłem się na znajomo wyglądającą animację – i rzeczywiście: to była ona, ale jakże odmieniona. Już nie *Załoga G*, a *Eskadra Orła*; już nie *Mark*, *Jason*, *Księżniczka*, *Kijop* i *Mały*, ale jakiś *Orzeł*, *Kondor*, *Łabędź*, *Jaskółka* i *Sowa*. Chyba tylko *Feniks* się ostał, ale *7-Zark-7* zniknął, podobnie jak *Zoltar*. Okazało się, że przemysłni Japończycy nakręcili jeszcze ze dwie serie tego tytułu, zresztą powstała też już jego wersja 3D oraz film fabularny. *Załoga* wydaje się być nieśmiertelna, ale jakoś dziś mnie to już mniej obchodzi. Tamtych dziecięcych emocji nic mi nie przywróci – ale i nie zabierze.

Następcą *Sobótki* był program **Drops**, który również – chyba siłą inercji – kończył się



serialem sf dla dzieci. Tym razem był to **Jason z Gwiezdnego Patrolu**. Ale, ponieważ przez tych parę lat nabrałem większego dystansu do prezentowanych w telewizji filmów, nie uległem już jego urokowi. A po tym, kiedy w drugim sezonie zamieniono aktora odgrywającego główną rolę, straciłem dla tej produkcji całkowicie serce. Program oglądałem jednak z innego powodu: dość często pojawiali się w nim goście prezentujący ciekawostki ze świata fantastyki (m.in. Jacek Rodek). To dzięki Dropsowi dowiedziałem się o *Władcy Pierścieni* oraz o zeszytowej serii *Iskier Magią i Mieczem*, dzięki której po raz pierwszy spotkałem się z prozą Roberta E. Howarda i... Jacka Piekary, zobaczyłem kilka kadrów z *Conana Barbarzyńcy* i *Excalibura*, że o grach planszowych takich jak *Magia*

i *miecz* czy *Bitwa na Polach Pelennoru* nie wspomnę. To ten magazyn pchnął mnie ku fantasy – i jemu zawdzięczam również to, że w końcu trafiłem do GKF.

Z tamtych czasów pamiętam jeszcze jeden serial, który wywarł na mnie naprawdę spore wrażenie: **Robin z Sherwood** ze znakomitą muzyką Clannad. Fantastyka hulała po nim od pierwszych kadrów, żeby wspomnieć Strzałę Herne'a i jego samego czy magiczne popisy hrabiego de Belleme. Najlepszy w całej serii był zaś podwójny odcinek *Miecze Waylanda* – kwintesencja fantasy w stylu magii i miecza w satanistycznym sosie.

Na początku lat 80. XX wieku nieregularnie pojawiał się program **Kosmiczny test**, w którym zespoły złożone z członków klubów fantastyki odpowiadały na pytania

35

Jedną z głównych ról w odcinku *Miecze Waylanda* w serialu *Robin z Sherwood* zagrała aktorka polskiego pochodzenia Rula Lenska



dotyczące ich (oraz mojego) ulubionego gatunku. Niestety, niezbyt często udawało mi się na niego trafić, ale zapamiętałem jeden z fragmentów filmowych, w którym skrzydlaci wojownicy atakowali kosmiczny okręt. Jakież wielkie było moje rozczarowanie, kiedy w trackie lektury *Wojny skrzydlatych* Andersona nie odnalazłem tej sceny. Dopiero później się zorientowałem, że obejrzany ongiś fragment nie był adaptacją tej powieści,

36

lecz kinowym remake’em słynnego telewizyjnego serialu *Flash Gordon* – tego samego, do którego praw nie mógł kupić Lucas i został zmuszony do stworzenia *Gwiezdných wojen*.



Kadr z serialu *Arabela* (Rumburak i Karel Majer)

w części dla 5-latków puszczano np. węgierską animację pt. **Mikrobi**. Robot został w niej sprowadzony do roli niańki rozwyrzonego rodzeństwa. Inną zajmującą, choć nie mnie, propozycją był francuski serial animowany **Shagma i zaginione światy** – prawdopodobnie zaczął być wyświetlany jeszcze za czasów Dropsa. Prawdziwą furorę zrobiła natomiast wśród moich rówieśników seria króciutkich pełnych abstrakcyjnego humoru filmów z cyklu **Oto Shadoki**, ze znakomitą rolą Piotra Fronczewskiego jako narratora. Wszyscy kibicowaliśmy mikroskopijnemu, a obdarzonemu nieposkromionym apetytem Żerń-Szeniowi. Nie można też zapomnieć o serialach czechosłowackich: **Arabela** (kto nie marzył o czarodziejskim pierścieniu, podróżnym płaszczu czy latającym kufrze), **Dziewczyna z Kosmosu** (jej walizeczkę z kosmicznym wyposażeniem chciał mieć każdy, kto raz zobaczył, jak bohaterka ją beztrudnie multiplikuje) czy nawet radzieckim **Elektroniku** (cyber-Pinokio o powierzchowności chłopca i sile Herkulesa) – wszystkie one, kropla po kropli, oswajały młodego widza z estetyką sf czy fantasy i przygotowywały do odbioru poważniejszych tekstów kultury. Po stanie wojennym nawet dzieci przestały się nabierać na komunistyczną propagandę, natomiast z braku dostępu do zachodnich produkcji korzystało się z tego, co było w zasięgu ręki. Tak niepostrzeżenie, przyjmując końskie dawki telewizyjnej fantastyki, dotarłem do momentu, w którym zgłoszenie się do klubu było czymś naturalnym. Fakt, że spośród wszystkich szkolnych kolegów i koleżanek zrzeszonym fanem zostałem tylko ja, zupełnie mnie nie przejmuje: wielu jest powołanych, ale przyjęci zostaną nieliczni. ☼



FLORA WOŹNICA

ZAPOMNIANE DZIECI

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy spojrzałem na krwawe szczątki, jakie leżały na progu sierocińca. Podszedłem do zawiniątka. Cuchnęło rozkładem. Zwłoki dziecka zostały tak zmasakrowane, że ledwo przypominały ludzką istotę. Głowę ktoś odłączył od reszty ciała, oczy pokryło bielmo, a na kończynach widoczne były ugryzienia licznych gryzoni. Gdzieniegdzie z ran wypełzały larwy much.

Zwróciłem obiad i zawiadomiłem policję. To już trzeci przypadek w ciągu ostatnich kilku tygodni. Choć zazwyczaj wiosna była dla nas porą radości i odzyskiwania chęci do pracy, tym razem kojarzyła się tylko z licznymi nieszczęściami, jakie spotkało nasze miasteczko. Uwielbiałem pracę z trudnymi dziećmi. Sam wychowywałem się w sierocińcu, więc świetnie je rozumiałem. Wiele w życiu widziałem i przecierpiałem, ale nigdy nie spotkałem się z taką tragedią.

Pogoda jakby nie zważała na tragizm naszej sytuacji. Liście drzew delikatnie kołysały się na wietrze, pomarańczowo-błękitne niebo zachęcało młodych do romantycznych spacerów, tu i ówdzie można było zauważyć zawilce i krokusy. Szczęśliwie, niczego nieświadome rodziny spędzały czas w pobliskim parku i cieszyły się wiosennym ciepłem.

Nasze cudowne, polskie realia nikogo nie zachęcały do adopcji dzieci. Zdecydowana większość osób miała biedne sieroty po prostu gdzieś, a brak edukacji seksualnej i niezchęcanie do stosowania antykoncepcji robiły swoje. Ludzie otwarcie korzystali z rządowego wsparcia rodzin wielodzietnych. Choć zdarzały się wyjątki, większość z zamożnych par obchodziło tylko egoistyczne przekazanie swoich genów, na porzucone w bidulu malce patrzyli wręcz ze wzgardą. Nasza placówka z roku na rok była coraz bardziej przepełniona, ludzie żyjący na skraju ubóstwa zostawiali nam niedożywione niemowlęta na klatce, czasem nawet w pobliskim śmietniku. Ruszało mnie to tym bardziej, że sam urodziłem się w patologicznej rodzinie. Nikomu nie życzyłbym codziennego lania, spoglądania na pijanych rodziców, wielokrotnie śpiących we własnych wymiocinach. Cóż... patząc na czwórkę mego rodzeństwa, które po latach kradzieży i zajmowania się własnymi starymi w końcu wylądowało w kryminale, moje życie w domu dziecka i tak wypadło całkiem niezłe. Niestety, ich nikt nie zabrał tym zwyrodnialcom, tylko ja miałem odrobinę szczęścia.

Wróciłem do budynku, usiadłem za biurkiem i prawie złamałem długopis. Z nerwów praktycznie nie spałem, policja wciąż nie mogła znaleźć mordercy dzieci. Jak taki potwór mógł chodzić po tym świecie? Dlaczego właśnie nas to spotyka? Czy na tym świecie istnieje jeszcze jakakolwiek sprawiedliwość? Pograżałem się w negatywnych myślach, gdy usłyszałem wołanie z sali zabaw.

— Panie Antku!!! Łukasz znowu mnie bije!!!



Otrząsnąłem się i pobiegłem do dzieci. Miały dopiero pięć lat, ale zachowywały się tak agresywnie, że bójki zdarzały się nawet co kilka minut. Opiekunów nie było dużo, bo i nasze pensje były bardzo skromne, ale staraliśmy się pomagać im ze wszystkich sił.

Ujrzałem zatrważającą scenę. Łukasz wbił koledze cyrkiel prosto w rękę. Szybko się otrząsnąłem, ustabilizowałem wetknięty w dłoń przedmiot i zadzwoniłem po pogotowie. Chwila nieuwagi ze strony moich współpracownic skończyła się dramatem. Stres robił swoje, opiekunki powinny pójść na urlop zdrowotny i uspokoić swoje nerwy, ale nie chciały. Chyba nie zdawały sobie sprawy z tego, że pracując w tym stanie mogą pośrednio przyczynić się do takiego zdarzenia. Ostrzegałem je, ale jak zwykle mnie lekceważyły, przeceniając swoją zdolność do koncentracji w obliczu ostatnich traumatycznych wydarzeń.

*

Następnego dnia obudziłem się bardzo wcześnie, zziąpany i wycieńczony. Pomimo tego, że moje mieszkanie położone było w drugiej części budynku, usłyszałem płacz i krzyki dzieci. Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy szybko przybiegłem do ich sali, mając nadzieję, że nie stało się coś potwornego.

Nic. Wszystkie spokojnie spały, widocznie musiało mi się coś przesyśleć. Powinienem pomyśleć o jakimś urlopie, byłem wyczerpany. Zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem korytarzem do swojego lokum. Nagle poczułem chłód, włosy stanęły mi dęba. Okno się otworzyło. Cała sytuacja nieco mnie przstraszyła, ale zamknąłem je i spokojnie wróciłem do pokoju.

Usiadłem na łóżku, wziąłem tabletki na uspokojenie nerwów i położyłem się, kiedy wychyciłem okropny, zgniły odór jakby dochodzący zza ściany. Coś było nie tak. Wstałem ponownie, szukając źródła tego smrodu.

Obróciłem się, zaskizypiały stare deski podłogowe. Nie zdążyłem wykonać kroku, kiedy ujrzałem jakby czerwonawy cień pod sufitem. Plama zaczynała się powiększać i zbliżać w moim kierunku. Stopniowa wyłaniała się z niej coś na kształt kobiecej sylwetki. Uśmiechała się delikatnie, kołyszając w rękę widmo niemowlaka. Miała długie, złote włosy i błękitną suknię. Nagle coś się zmieniło. Jej twarz starzała się w ekspresowym tempie. Po chwili w jej dłoniach zmaterializował się spory tłuczek. Rzuciła się z nim na mnie wraz z trzymanym w rękę noworodkiem.

Uciekałem przed zjawą, obawiając się o własne życie. Już myślałem, że mnie zrani, kiedy dosłownie przeniknęła przez moje ciało i rzuciła się na swoje dziecko. W oczach miała tylko obłąd, a na twarzy liczne rany i siniaki. Zaczęła uderzać tłuczkiem w jego widmową postać, ciężko okaleczając. Niemowlę zakwiliło. Po chwili płacz malca zmienił się w ogłuszający ryk, a następnie coraz głośniejszy pisk. Zatkąłem uszy, kuląc się do przeciwległej ściany. Budynek drgał, potworny dźwięk stłukł szybę w oknie na korytarzu. Po kilkunastu sekundach duchy



zniknęły. Wtedy dobiegł mnie krzyk dobiegający ze strony podwórza. Zbiegłem na dół. Byłem wyczerpany, ale adrenalina zrobiła swoje, na chwilę dodając mi sił.

— Dawid!!! Jezu! — Łucja, jedna z opiekunek, prawie zemdłała. Chwyciłem ją dosłownie w ostatniej chwili i przeniósłem na ławkę.

— Oddychaj spokojnie, zaraz zadzwonimy po służby, wszystko będzie dobrze. — Zadzwoniłem po policję. Na ganku leżało dwoje martwych killkulatków. Bartek i Zosia, moi ulubieńcy. Na ich czołach widniały rany i zagłębienia, które bardzo przypominały te zadane niemowlęciu tłuczkiem.

Byłem potwornie zmęczony, więc postanowiłem położyć się choć na chwilę. Zanim jednak zdążyłem powrócić do budynku, ponownie ujrzałem zjawę. Śmiała się donośnie, a za nią podążały dwie drobne, mgliste postacie. Odwróciły się na chwilę i pomachały mi.

39

Podążyłem za nimi. Nie przebyłem jednak nawet kilku metrów, kiedy zjawa obróciła się, pchnęła mnie na ziemię i rozplynęła się wraz z dziećmi.

*

Od ostatniej tragedii minął miesiąc. Po kilku wizytach u psychologa doszedłem do siebie i kontynuowałem pracę. Niestety, część personelu wzięta urlop zdrowotny, dwie osoby wylądowały na oddziale psychiatrycznym, jedna złożyła wymówienie. O dziwo dość szybko udało nam się znaleźć ludzi na zastępstwo, więc dom dziecka funkcjonował dalej. Wciąż niepokoiły mnie tamte wydarzenia. Pomimo tego, że wszystkie zjawy musiały być wytworem mojej wyobraźni, dalej zdarzało mi się odczuć paraliżujący strach, zwłaszcza gdy przechodziłem korytarzem na piętrze. Policja wciąż prowadziła śledztwo, na razie bez żadnego skutku.

Wszystkim dawał się we znaki upał. W miasteczku panowała susza, więc trawa przypominała siano, rodziny masowo wykupywały wentylatory, a nasz sierociniec zainwestował w klimatyzację. Jak się okazało, kiepską, bo zepsuła się po kilku dniach. Cóż, brak pieniędzy zarówno z budżetu państwowego, jak i z coraz mniejszych datków darczyńców zrobił swoje i jeszcze przez długi okres czasu nie zapowiadała się pod tym względem żadna pozytywna zmiana, bo przecież liczyło się tylko powiększanie już istniejących rodzin, a niechciane dzieci były mniej ważne.

Ogarnęła mnie wiosenna melancholia. Ciągłe kichałem. W wolnym czasie zastanawiałem się nad sensem tego wszystkiego, przechadzając po okolicznym parku. Wciąż to samo, w kółko. Uśmiechnięte pary, całkowicie pochłonięte swoim szczęściem, młode małżeństwa, zamożni wydający pięćset złotych na spodnie dla swoich biologicznych dzieci – wszyscy ci ludzie zdawali się żyć w swoim własnym świecie, bańce mydlanej, która jakimś cudem przesłaniała im wszystkie tragedie wokół nich: potrzebujące odrobiny ciepła istoty, które ktoś już wydał na świat i porzucił, skazując na cierpienie; ostatnie zdarzenia;



usychające ze skwaru rośliny. Liczyły się tylko egoistyczne pobudki i cieszenie się ciepłem, które w końcu skończyło się kilkoma udarami słonecznymi.

Jeżeli za długo będziesz patrzeć w słońce, oślepniesz. To jedno z niezliczonych mądrych powiedzeń mojej matki, z krótkich chwil, kiedy bywała trzeźwa. Ironia losu, sama była zapatrzona tylko w swój nałóg. Niektórzy byli tak skrajnie nieodpowiedzialni, że aż dziwiły mnie sytuacje, w których ich dzieci wyrastały na w miarę porządných ludzi. Większość kończyła jednak podobnie jak ich rodzice. Gdybym nie wylądował w bidulu, pewnie skończyłbym podobnie jak oni.

Polak jednak nie jest mądry po szkodzie, łatwiej mu działać bezrefleksyjnie i tkwić w swoich problemach, nie wyciągając z nich żadnych wniosków. Sam pokonałem traumę z dzieciństwa, ale wciąż nie miałem siły, by zapomnieć i wybaczyć, wspomnienia wciąż powracały. Usiadłem na ławce, gdy przysiadła się do mnie starsza pani.

— Widzi pan te drzewa? To wszystko wyrosło na pozostałościach cementarza. Różne historie krążą o tym miejscu — zagadała, głaszcząc wielkiego, wyleniątego persa.

— Naprawdę? Jakże? — mogłem słuchać o wszystkim, byle tylko oderwać się od własnych ponurych myśli.

— Podobno ten dąb rośnie na grobie Anny Orszak, morderczynie własnych dzieci. Nawet nie postawili jej nagrobka. Straszna tragedia, zabiła trójkę synów. Gdy jej mąż się o tym dowiedział, zamordował ją i sam popełnił samobójstwo. Straszna tragedia, podobno cała rodzina miała nie po kolei w głowach.

Rozmowa z nią okazała się błędem, nie mogłem dłużej tego słuchać, przeprosiłem i postanowiłem wrócić do mieszkania, byłem zbyt przygnębiony, aby patrzeć na rozpromienione twarze wszystkich wokół. Historie o zmarłych morderczyniach nie wpływały na mnie dobrze, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach i moich przywidzeniach.

Kiedy dotarłem do ośrodka, nie mogłem przestać myśleć o opowiedzianej mi przez starszkę historii. Z ciekawości postanowiłem przeszukać archiwum. Znalazłem. Trzydzieści lat temu przyjęliśmy do siebie chłopca o tym nazwisku, jednak wkrótce wszelki ślad o nim zaginął. Poszedłem przepytać o szczegóły starszą przełożoną, Miriam. Miewała problemy z pamięcią, ale miałem nadzieję, że coś wie.

Ciekawość wzięta górę i zapukałem do jej lokum, jednak nikt mi nie odpowiedział. Dzwoni były lekko uchylone, więc postanowiłem wejść do środka. Miriam kołysała się lekko w bujanym fotelu, patrząc na trzymany w swoich rękach kuferek. Stary pokój pachniał wiekowym drewnem i jej ciężkimi perfumami.

— Miriam?! Coś się stało?

— A, to ty. Wejdz, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— To na pewno twoje? Kiedyś ukradłaś nam podobny kufer, lepiej mi go pokaż.

— To nic ważnego. Dostanę dziś trochę owocowej konfitury?

— Tak, tylko wolałbym, żebyś mi to pokazała. Mogę zobaczyć?



Miriam zaczęła się lekko trząść, jakby czegoś się przestraszyła. W pokoju zrobiło się zimno, na szybach pojawił się szron. Ręce staruszki drgały coraz bardziej, aż w końcu upuściła kufer na ziemię. Puzderko roztrzaskało się, a w powietrzu zaczęło się unosić coś jakby sadza. Po chwili całkowicie się rozsypała, a na dnie kuferka ujrzałem drobne ludzkie kości.

— Miriam! Co to ma znaczyć?!

— Ja nie chciałam! Nie chciałam! Ale ona tu przychodziła! Prześladowała go! Robiła mu krzywdę! Tak bardzo cierpia! Musiałam mu pomóc! Prosił mnie o to!

— Kto?! Co zrobiła?! Spokojnie!

— Pomyłona Anna! Przychodziła po niego! Skończyłam to i ukryłam go przed nią! — oddychała coraz ciężiej, trzęsąc się jak w padaczce.

Usłyszałem przekręcanie klamki. Ktoś wchodził do pomieszczenia, ale nie było słychać żadnych wyraźnych kroków.

— To pewnie Beata! Już otwieram, chwila! — opiekunka Miriam regularnie pomagała jej w ciężkich chwilach, więc byłem pewien, że to ona i otworzyłem drzwi.

Nie zdążyłem nawet się przesunąć, kiedy coś z całej siły rzuciło mnie na przeciwległą ścianę. Zajączałem z bólu, nie mogąc ruszyć się z podłogi. Usłyszałem narastający wrzask, który sprawiał, że zaczęło krwawić mi z uszu.

Na środku pokoju unosiło się widmo kobiety. Była skąpana we krwi, jej oczy rozbiegane, w rękę trzymała tłuczek. Na chwilę spojrzała na mnie, po czym uderzyła staruszkę i rzuciła się do kuferka. Zaczęła potwornie jęczeć, wymachując rękoma we wszystkie strony.

— Adam! Chodź tu ty mały potworze, zabiję cię!!! Czekamy na ciebie, najwyższy czas wymierzyć ci karę! Tak długo cię szukałam, już zdawało mi się, że cię dorwałam, kiedy okazywało się, że to inne dziecko! Coś ty narobił?!!!!

Prochy zaczęły formować się w coś na kształt drobnej ludzkiej sylwetki. Po chwili zamiast nich pojawił się duch siedmioletniego dziecka.

— Mamo! Ja tylko się bawiłem, nie karz!

— Ty mały gnojku, przez ciebie cała rodzina zginęła, a ja nawet porządnego grobu nie dostałam! Ty diable!!! Tyle lat cię szukałam!

Dziecko zaczęło uciekać przed matką, ale ta zaczęła je gonić. Po chwili usłyszeliśmy trzask i ujrzeliśmy jak zraniony w głowę duch upada, zmieniając się w roślą, smolistą postać. Zjawa chwyciła ją za dłoń, wrzeszcząc w szale. Po chwili oboje rozpłynęli się w powietrzu, zostawiając po sobie tylko odór zgnitego ciała.

Wstałem, chwiejąc się lekko ze strachu. Miriam ledwo oddychała, ale żyła. Od tamtej chwili do nikogo się nie odzywa, w naszym ośrodku nie mają miejsca żadne zbrodnie, a dokładna historia dramatu rodziny Orszak do teraz nie jest nikomu znana i pewnie wkrótce ludzie zupełnie o niej zapomną. Tylko czasami przechodząc korytarzem zdaje mi się, że słyszę jęki i płacz dobiegające zza ściany. ❀



KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

PRZEPRASZAM PANA, CZY TO ŻART?

Jak co dzień, o 13:30, Marek wyszedł z firmy by przetrzącić coś ciepłego w pobliskim lunch-barze. Gdy opuścił chłodne wnętrza biurowca zalała go fala słonecznego żaru. Oślepiony przez słońce zamrugał powiekami. Stał przez parę sekund przyzwyczajając wzrok i nagle opanowało go przecucie, że dzieje się coś dziwnego. Zmrużył oczy.

Ulica wypełniona była stojącymi samochodami.

Taki korek, tutaj? – zdziwił się.

42

Kierowcy zamiast siedzieć w autach, wściekając się i trąbiąc raz po raz, stali obok aut i niepewnie się rozglądali. Niektórzy z przejęciem słuchali radiowych wiadomości.

Po drugiej stronie ulicy, przy witrynie sklepu z telewizorami, zebrał się kilkudziesięcio-osobowy tłum.

Zupełnie jakby była wyprzedaż – pomyślał.

Dopiero teraz, z opóźnieniem, dotarł do jego uszu niesamowity jazgot setek odbiorników radiowych i ponury pomruk rozemocjonowanych ludzi.

Co jest grane? Co się dzieje?

Pierwsze skojarzenie jakie mu przyszło do głowy to, że może właśnie zaczął się kolejny 11.09, tyle tylko, że dla odmiany w Polsce. Zaraz potem oczyma wyobraźni ujrzął scenę z filmu *Znaki*, gdzie nad największymi miastami świata wisiły złowrogie flotylle statków kosmicznych obcej cywilizacji.

Spojrzył na niebo. Było takie jak zawsze, błękitne, upstrzone gdzieniegdzie niegroźnymi puszystymi chmurkami.

Przebiegł przez ulicę i lawirując między autami dotarł do sklepu z telewizorami. Z trudem wcisnął się w kotłujący się podniecony tłum i po paru chwilach udało mu się ujrzeć to, co wywołało takie zamieszanie.

Lodowaty dreszcz przebiegł mu po karku, aż zadzwonił zębami jakby nagle dostał ataku febrę. Serce zaczęło walić jak młot coraz bardziej przyspieszając. Normalnie byłby przerażony. Myślałby, że właśnie dopadł go przedwczesny zawał i za udział w korporacyjnym wyścigu szczurów przyjdzie mu zapłacić najwyższą cenę. Ale teraz nie zwracał na to uwagi. Stał ściskany przez gęstniejący tłum, sparaliżowany lękiem a jednocześnie zafascynowany tym, co zobaczył.

— Przepraszam pana, czy to żart? — spytał drżącym głosem staruszek stojący obok niego.

W pierwszej chwili Marek nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Wyrwany z przerażającego transu, w głowie miał kompletną pustkę. Jeśli to, co widział, ma być końcem wszystkiego, to lepiej, żeby staruszek miał tego świadomość. Czas na to, by się z tym faktem pogodzić, uporządkować swoje życie, pomodlić się, czy... w ułamku sekundy stać się buddystą wierzącym w zjednoczenie z Wyższą Energią.



— To nie jest film? — dopytywał się z niedowierzaniem starszy pan.

— Niestety — odparł Marek.

Niebo, na ekranie telewizora, upstrzone było czarnymi sześcianami.

Co to jest? Czy coś dziwnego wydarzyło się w tym całym chorym eksperymencie ze zderzaczem hadronów? Może naukowcy stworzyli dziwadefko – niespotykaną materię, która rozprzestzenia się w zastraszającym tempie i przemienia znane nam cząsteczki w podobne sobie, niespotykane w naszym świecie?

Wyrwami w chmurach też nie było można tego nazwać - przecież musiały by być widoczne gwiazdy a nie jedynie martwa nieprzenikniona czerń. I jeszcze te dziwne kształty... może to UFO? Przecież pojawiało się draństwo tak nagle i praktycznie znikąd – w jednej sekundzie błękit nieba, chmurka i nagle BUM! zamiast chmurki smolisty sześcian...

43

Rozległ się histeryczny kobiecy krzyk, niewiarygodnie wysoki, aż cierpła skóra na karku.

Marek chciał zobaczyć co się dzieje, ale nie mógł się odwrócić - był unieruchomiony przez napierającą ludzką masę.

Coraz więcej krzyków. Ktoś się głośno modlił, ktoś inny histerycznie śmiał.

Nacisk tłumy trochę zelżał i Marek mógł się wreszcie poruszyć. Spojrzył w niebo. Pojawił się na nim czarny sześcian, który pochłonął fragment drapacza chmur.

W ciele mężczyzny zapanowało istne tornado. Serce biło jak oszalałe. Żołądek ściśnięty w bolesnym skurczu. Pot spod pach ściekał zimnymi strużkami a w uszach narastał jednostajny szum. Zaczęło mu się robić słabo i byłby zemdlał gdyby nie myśl, która huknęła mu w głowie jak uderzona przez żartownisia tuż przy uchu papierowa torebka:

Marta! Alicja! O Boże! – przypomniał sobie, że przecież, gdzieś tam, na drugim końcu miasta, są dwie przerażone kobiety. Sens jego życia. Żona i córka.

Drżącą ręką wyciągnął komórkę. Palec latał mu jak u dręczonego delirką pijaczyny, ale w końcu udało mu się wyszukać odpowiedni numer. Przycisnął telefon do ucha. Nagle na niebie pojawiło się kilka nowych sześcianów. Jeden z nich wchłonął przelatujący samolot i przesłonił słońce. Ulicę zalał złowieszczy cień. W słuchawce wybrzmiał komunikat, że sieć jest przeciążona.

A jakże by, kurwa, inaczej – pomyślał wściekły.

Wiedział, że musi się do nich jak najszybciej dostać. Przejął go lęk o to, czy tam, gdzie mieszkają, wszystko jest jeszcze w porządku. Biorąc pod uwagę to, co się dzieje, żaden samochód nie wchodził w rachubę.

Może pobiec? Nie, to raczej niemożliwe – czy koleś wypalający codziennie paczkę papierosów mógłby przebiec przez pół miasta niczym maratończyk na dopingu?

Marek stał bezradnie lustrując okolicę nerwowymi spojrzzeniami. Potrącany przez biegających chaotycznie rozwrzeszczanych ludzi, poganiany narastającą paniką, w końcu ujrzał rozwiązanie i już po chwili był obok opartego o skuter chłopaczka, który z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w niebo. Popchnął go i błyskawicznie wskoczył na siedzenie.



Silnik był na chodzie. Marek wcisnął pedał gazu i ruszył lawirując między samochodami i ludźmi.

Albo to koniec świata, albo przechodzimy w inny wymiar. Tak, czy tak, 1:0 dla cholernych Majów, a koleśowi ten skuterek już się na nic nie przyda – odruchowo zaczął się sam przed sobą usprawiedliwiać.

Wjechał na wolny od samochodów chodnik. Trąbiąc bez przerwy zygzakował między odskakującymi w ostatniej chwili ludźmi. Nie zamierzał niechcący kogoś przedwcześnie uśmiercić – ot, tak na wszelki wypadek, jakby się miało okazać, że to jeszcze nie jest koniec świata.

- 44 Wszystko pociemniało. Sześciiany pojawiały się tak szybko, jak pryszczce na twarzy dojrzewającego nastolatka. Miasto tonęło w półmroku tylko gdzieś tam rozświetlanym kolumnami słonecznego światła.

Marek pędził na skuterze, tak szybko jak to było tylko możliwe. Zimny wiatr boleśnie wciskał mu się w uszy, zmroził wysuszone gardło. Oczy łzawiły. Ryzykował, że za chwilę zginie – zderzy się z czymś lub kimś. Z drugiej strony, gdyby jechał ostrożniej mógłby





nie dotrzeć na czas. Nie utuliłby Alicji i Marty. Nie wyszeptałby im kojącem głosem, że wszystko będzie dobrze (choć wiedział, że tak nie będzie). Nie usłyszałyby po raz ostatni jak bardzo je kocha.

A może to tylko sen? – zdziwił się, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy i była to jego ostatnia myśl; ułamek sekundy później przestał istnieć. Zniknął w nicości sześcianu, który pojawił się na jego drodze.

Marek został wykasowany z rzeczywistości.

*

PLANETA N'SHAAR. CZAS: PRZED ZIEMSKIM KOŃCEM ŚWIATA.

45

N'shaar, miejsce tak dziwne, że człowiekowi ciężko by było sobie wyobrazić. Smoliście czarna kulka dryfująca w mlecznobiałym wszechświecie. Zzewnątrz wyglądała na martwą i istotnie na jej powierzchni nie było ani jednego żywego organizmu - za to jej wnętrze, to już zupełnie inna sprawa; tętniło życiem. Przeorane ogromnymi tunelami przypominało gąbkę. Tunele pokryte były świecącymi jaskrawą zielenią gigantycznymi naroślami, które w rzeczywistości były miastami. W jednej z „narośli” – w mieście Gaa'nth kończyły się przygotowania do ważnego eksperymentu. Na obrzeżach miasta, w strefie przylegającej do powierzchni tunelu znajdował się kompleks laboratoriów HNAA'CS. W miejscu tym rozwijane były najbardziej zaawansowane technologie.

Szary, rozmyty kształt będący w rzeczywistości jednym z mieszkańców planety, przekazał za pomocą uderzenia myślowego polecenie do biotera (specyficznego komputera mającego wytworzyć sztuczną rzeczywistość i sztuczne życie).

Pojawiła się seria rozbłysków. Zgromadzeni w pomieszczeniu naukowcy wystrzyli moany by móc odbierać wiązki myślokształtów. Nie potrzebowali wykresów, opisów, zdjęć, wszystkie eksperymenty zawsze doświadczali na sobie za pomocą zmysłu zwanego moaną. W ciągu ichnich kilku minut odebrali z biotera ogromny przekaz myślokształtów świadczący o tym, że eksperyment zakończy się sukcesem. Ich umysły przeniknęły symulację wszechświata i przefiltrowały miliardy lat jej istnienia. W kilku potężnych błyskach myślokształtów otrzymali wiedzę o sztucznym świecie.

Świecie, na którym powstał symulant życia - nieprawdziwe istoty, zwące siebie ludźmi. Zaistniały na chwilę w tysięcznej części ostatniej sekundy trwania eksperymentu. Niestety N'shaarianie nie mogli sobie pozwolić na to, by eksperyment trwał dłużej. Mimo, że smutek, okrucieństwo i wszystkie te straszne uczucia, które odebrali jako przekaz myślokształtów z ludzkiej planety, były bardzo ciekawe, choć przerażające (jako, że N'shaarianie nigdy czegoś takiego nie doświadczyli - po prostu nie znali tych uczuć), musieli eksperyment pizerwać. Według wyliczeń jeszcze kilka tysięcznych sekundy i rozwój techniczny Ziemi



osiągnąłby ryzykowny poziom. Zaistniałoby zagrożenie, że nauczą się podróżować między wymiarami. Oznaczałoby to, że teoretycznie mogliby nawet przeniknąć do n'shaarańskiego wszechświata i stać się prawdziwymi materialnymi bytami.

Ludzki wszechświat został wykasowany. Eksperyment zakończył się pełnym sukcesem.

*

OSTATNIE CHWILE ISTNIENIA NASZEGO WSZECHŚWIATA: ZIEMIA. USA.
DOM STEPHENA WINTERSA W LOS ANGELES

46 Stało się to, o czym Stephen od dawna wiedział. Patrząc w zadumie na znikającą rzeczywistość, zastanawiał się, jaki to wszystko miało sens? Dlaczego tak się szarpał, ośmieszał w oczach świata usiłując powiedzieć ludziom prawdę? Jakie to miało znaczenie? Jakie w ogóle cokolwiek miało znaczenie, skoro z góry było przesądzone, że świat przestanie istnieć. Zresztą... „istnieć” – dobre sobie! Przecież Ziemia i wszechświat, cała rzeczywistość, tak naprawdę nigdy nie miały miejsca.

Gdy Stephen skończył badania, gdy ujrzął ich wyniki, w ciągu kilkunastu sekund całkowicie osiwiął. Przeraziło go to, co odkrył. Straszliwa prawda. Szarpał się potem wewnętrznie sam ze sobą. Przez kilka dni zastanawiał się, czy zachować tę wiedzę dla siebie, czy ujawnić ją światu. Ostatecznie uznał, że ludzie mają prawo wiedzieć. I co to dało? Nic! Publiczne go wyśmiano.

Ogłosił, że wszechświat i cała otaczająca ich rzeczywistość jest tak naprawdę gigantycznym hologramem; skomplikowanym komputerowym programem. A oni wszyscy uznali go za pomyłkę, a jego największe odkrycie okrzyknięto największą brednią wszech czasów.

Stał przy oknie i patrzył jak ten cały hologram znika, sześcian po sześcianie, klaster po klastrze, znika z boskiego dysku twardego.

Z jednej strony było to przygnębiające – świadomość, że się nigdy nie istniało – a z drugiej czuł ogromną satysfakcję, bo wiedział, że ci wszyscy, którzy go wyśmiewali, teraz musieli zmienić zdanie, uznać jego wielkość i geniusz! Ponura to satysfakcja... bo i po co chwala i uznanie, gdy się właśnie powoli przestaje istnieć?

To koniec wszystkiego – ale czy ludzkość nie zażyła na taki los? ❁



NORBERT GÓRA

U KRESU WSZYSTKICH DNI

przeszyliśmy tyle gwiazd
z próżnią za pan brat
przeżyliśmy w pustce tyle lat
aby poznać śmierci świat
promień światła z ziemskich lamp
nie oświetli nam już sensu
choć to nieznaną ląd
nie będzie dla nas precedensu
dziwów tych żaden umysł
nie byłby w stanie wepchnąć w formę
cud nad cudem, dziwowiska
cóż mielibyśmy przyjąć za normę
fioletowe smugi
drżące w blasku naszych światel
monumenty zakrzywione
jak rogi piekielnych dziwadeł
echo tutejszego życia
pożarł czas, nienapasiony
włókł za sobą istnienia kres
jak szatan, niezwyknięty
zapisany w plikach obraz
nie odrodzi tamtej świadomości
przedzieraliśmy się przez mrok
i światła odległych konstelacji
lecz na co nam bezkres możliwości
skoro nic nie zwycięży śmierci kreacji

SENSACJA!

Tylko u nas
domknięcie klasycznego
opowiadania Heinleina!
str. 27–30

